CZWARTEK Nr 104 85-08-29 Cena 8 zł

ŚWIAT MŁODYCH



HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Leczą i wychowują

KATOWICE (inf. wł.). Przyjeżdżają na „Zamonit" rokrocznie. Miejscowi znają ich dobrze i darzą powszechną sympatią i szacunkiem. Harcerze i instruktorzy spod znaku eskulapa, członkowie studenckiego kręgu instruktorskiego działającego przy Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrzu zapisali tu niejedną kartę na gościnnej jurajskiej ziemi. Począwszy od 1962 roku, kiedy to w harcerskim szpitaliku polowym udzielili miejscowej ludności 250 porad i wyleczyli 42 osoby, uczestniczą w każdej akcji, przychodząc z pomocą wszystkim potrzebującym. To właśnie z ich inicjatywy powstały słynne w całej Polsce i jedyne w swoim rodzaju obozy harcerskie dla dzieci chorych na cukrzycę, astmę i cierpiących z powodu wad postawy. Kieruje nimi założycielka kręgu druhna dr nauk medycznych Krystyna Karczewska.



W tym roku, roku ćwierćwiecza harcerskiej akcji „Zamonit", przyjechali do swojej ukochanej Krępy, by nieodmiennie, jak od lat prowadzić obozy dla swoich małych pacjentów. Oprócz tego, prowadzą badania dzieci z Ogrodzieńca. Druhna Barbara Musialik - studentka 2 roku Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Zabrzu nie wyobraża sobie lepszej formy aktywnego wypoczynku i praktyki zawodowej. Kompleksowym badaniom - mówi - poddaliśmy grupę 160 dzieci. Rzadko się zdarza, aby w tak krótkim czasie przebadać pod każdym względem wszystkich naszych małych pacjentów. Na miejscu mamy wszystko, co nam potrzebne, laboratoria, gdzie wykonujemy analizy krwi i moczu. Są z nami również interniści, okuliści, stomatolodzy i... psycholodzy. Po tych wszystkich niezbędnych badaniach rodzice naszych pacjentów otrzymują zalecenia co do dalszego leczenia w ciągu roku, **(kk)**

Fot. **Z. Bisanz**

AUTOGRAF PANI ASTRID

Szwedzka pisarka Astrid Lindgren, autorka „Dzieci z Bullerbyn" i popularnego cyklu zwariowanych przygód Pippi, odwiedziła niemieckich czytelników swoich książek - mieszkańców Monachium. Spotkanie autorskie odbyło się przy okazji premiery nowego filmu dla dzieci, nakręconego w RFN na podstawie jej książki pt. „Ronja, córka rozbójnika".

Fot. **CAF**



KORA – dobrym nawozem

Zakłady przemysłu drzewnego z reguły spalają podstawowy odpad, czyli korę. Jak się okazuje, jest to marnotrawstwo. Pracownicy Południowomorawskiego Przedsiębiorstwa Leśnego w Nowym Mieście (Czechosłowacja) zbudowali swego rodzaju kompostownię, która z kory odpadowej, głównie świerkowej, produkuje nawóz organiczny, zastępujący torf. Korzystają z niego okoliczne gospodarstwa rolne.

MRÓWKI POD WIEDNIEM

Wiedeń i szereg miejscowości we wschodniej Austrii stały się ostatnio obiektem prawdziwej inwazji mrówek. Wedle informacji urzędu ochrony środowiska, plaga brunatnej mrówki łąkowej (lassius ferrugineus) stała się w Dolnej Austrii tak dotkliwa, że nie mogą się od niej opędzić zarówno działkowicze i właściciele ogrodów, jak również mieszkańcy najwyższych nawet wieżowców.

Naukowcy tłumaczą to zjawisko nagłym pojawieniem się chłodów na przełomie wiosny i lata. Chłody te zmusiły mrówki do szukania schronienia w ciepłych pomieszczeniach.

Ewakuowano 12 harcerskich obozów
Druhowie z Żor nie dali się żywiołowi

OBERWANIE CHMURY NA „KLIMCZOKU"

BIELSKO BIAŁA (Inf. wł.). Długotrwałe opady połączone z niezwykle porywistym wiatrem dały się we znaki harcerzom spędzającym tegoroczne lato na obozach akcji „Klimczok". Z wtorku na środę tzn. z 6 na 7 sierpnia niczego nie spodziewające się druhny i druhowie padli ofiarą wichury. Huraganowej siły wiatr łamał drzewa jak zapałki, wszystko wokół wirowało, a ulewny deszcz uniemożliwiał widoczność. Najgorzej było w Targoszowie, Nierodzimiu, w Ujsołach, Złatnej, Skoczowie, Bierach, w Lipowej. Z miejsca na zagrożonych terenach pojawili się członkowie sztabu „Klimczoka". Wspólnie z kadrą obozu podejmowali decyzje o ewakuacji lub też o przeniesieniu młodzieży w bardziej bezpieczne miejsca. Szkoły, kluby, domy kultury, remizy ochotniczych straży pożarnych dawały schronienie przemoczonym i przemarzniętym harcerzom i harcerkom.

W Lipowej, gdzie rozbili swoje namioty zuchy i harcerze z komendy hufca w Żorach, a dokąd osobiście pojechał zastępca komendanta akcji, hm Jan Pruszko, wiatr przewrócił dwie ciężkie „beczki", a namioty kadry zniósł aż do potoku. Jak poinformowała mnie na miejscu pwd Bożena Kuska - natychmiast na miejscu znaleźli się naczelnik gminny, komendant posterunku MO, komendant straży leśnej i leśniczy. Zuchy zostały ewakuowane do pobliskiej leśniczówki, natomiast harcerki i harcerze pomimo wielu perswazji postanowili nie dać się żywiołowi. Co prawda przez środek majdanu płynęła już szeroką strugą woda zbierając po drodze wszystko co napotkała, ale druhny i druhowie z Żor nie dawali za wygraną. Suchy Potok, który wylał ostatnio 10 lat temu, zmienił się w rwącą rzekę. Podmyty stok i skarpa nad obozem obsunęła się tak niebezpiecznie, że zagroziła namiotom. Imając się najprzeróżniejszych sposobów przez trzy kolejne dni i noce walczono z żywiołem. Nikt się nie oszczędzał. Efekty nie kazały długo na siebie czekać. Rozpalone w każdym z czterech podobozów ogniska nie tylko skutecznie rozgrzewały zziębniętych harcerzy, ale i pozwalały wysuszyć przemokniętą do suchej nitki odzież - opowiada druhna Bożena. Nazajutrz, po najtrudniejszej nocy, nikt nie miał nawet kataru. W ogóle wyszliśmy z tej niecodziennej przygody obronną ręką. I tylko dzielności i uporowi naszych harcerzy możemy zawdzięczać, żeśmy się nie dali...

(kk)

Góralskie granie



Fot. **CAF**

Dwudziesty drugi raz trombity pasterskie ogłosiły otwarcie (i zamknięcie) Tygodnia Kultury Beskidzkiej.

Folklor góralski staje się coraz bardziej egzotyczny. Z góralskich chat - coraz częściej murowanych domów i willi - wypiera ludową śpiewkę mechaniczna, elektroniczna muzyka.

Przyśpiewka skubaczek, taniec weselników, pasterskie helokanie stają się zabytkiem. Trzeba otoczyć je opieką. Temu służą - z powodzeniem! - beskidzkie tygodnie.

Tegoroczny zgromadził ponad trzy i pół tysiąca wykonawców, ponad osiemdziesiąt zespołów krajowych i zagranicznych. Na estradach Wisły, Szczyrku, Żywca i Makowa Podhalańskiego występowali nasi górale spod Babiej i Baraniej Góry i „spod samiuśkich Tater", a także górale z Włoch, Francji, Bułgarii, Hiszpanii i RFN.

Niosła się góralska muzyką, wirowały tańcowaniem i błyskały wszystkimi kolorami stroje ludowe, a na żywieckim jarmarku rozstawiono kramy z wytworami rękodzielniczymi. Były łapcie, i łapawice, swetry, figurki, obrazki, koszyki, szkatułki, oscypki i precle. Ucichły już trombity, bo jak słusznie powiada ludowa poetka, Waleria Prochownik:

...Hej, sycko na świecie
te dwie prawdy łący
ze co się zacyna
to się tys i kończy...

ST. WOŹNICA



NA POKŁADZIE „SANTA TURULI”

Wprawdzie wakacje dobiegają końca i w tym roku pomysł ten chyba już się nikomu nie przyda, ale za kilka miesięcy zaczniemy myśleć o przyszłorocznym obozie, a wtedy warto będzie zajrzeć ponownie do wakacyjnych numerów „Świata Młodych", bo a nuż uda się coś ściągnąć...

Propozycja katowickiej „szarej siódemki", która w tym roku, rozbiła namioty w Lubiatowie koło Wejherowa, to obóz o charakterze marynistycznym. Zapraszam do jego obejrzenia.

Wchodzącego do obozu miast zwykłej wartowni wita drewniany trap i bocianie gniazdo wartownika, pod którym wisi koło ratunkowe z napisem „Santa Turula”. Wprawne oko bez trudu dostrzeże potężną linę cumowniczą przerzuconą przez wyimaginowany rów z wodą. Obeznanego w zwyczajach harcerskich zdziwi pewnie brak totemów. Na ich miejscu drewniane kołki i zwoje lin powieszone na pierwszej „zapałce” namiotów. To nie namioty zresztą, tylko kajuty. Nie pomyślcie sobie przypadkiem, że te łóżka to zwyczajne „kanadyjki”. To są najprawdziwsze w świecie koje.

Dalej oczom zwiedzających ukazuje się szkielet wspaniałego żaglowca. Na lewej burcie, tuż przy dziobie, wypalony na desce napis „Santa Turula”. Pokład obmyślili „stoczniowcy” w ten sposób, by od strony rufy można było bez trudu na niego wejść. Nad żaglowcom górują dwa maszty. Na jednym powiewa bandera, drugi utrzymuje stary, wysmagany wiatrem żagiel. Nad pokładem wisi lampa naftowa „oświetlająca” marynarzom czas wachty. Sam szkielet „Santy" do złudzenia przypomina osnuty wodorostami wrak legendarnej fregaty. Wystarczy przymknąć na chwilę powieki...

- Uwaga, załoga! Człowiek za burtą! - z zamyślenia budzi głos II oficera (na tym statku — obozie struktura organizacyjna także jest marynarska. Druhna komendantka to kapitan, kwatermistrz - I oficer, oboźny - II oficer, drużynowa - III oficer itd;, zastępowi to bosmani, a wszyscy pozostali to majtkowie :

- Majtki przed kajuty!

Po kolei mieszkańcy kajut ustawiają się przed namiotami i zgodnie powtarzają:

- Jest: majtki przed kajuty!

Bosmani stają przy słupkach cumowniczych, w rękach trzymają zwoje linek. Pada kolejna komenda II oficera:

- Dziub chroń! Rufę chroń! Cumy rzuć!

Bosmani ze wszystkich kajut na wyścigi rozwijają linki cumownicze i zarzucają je na bukszpryt „Santa Turuli”. Majtkowie ustawiają się wzdłuż linek i już słychać okrzyki:

Jest: cumy rzuć!

Ambicją każdej kajuty jest, by ich linka znalazła się na bukszprycie jako pierwsza. II oficer stojący na pokładzie „Santy" głośno odlicza: - 3:2 dla lewej burty (po lewej stronie ustawia się załoga żeńska, po prawej męska), 3:3, 3:4, 4:5...

- Załoga, baczność! Bosmani meldować!

I rozpoczyna się tradycyjne dla każdego apelu meldowanie:

- Ahoj, II oficerze, melduję osiem Śledzi... „Śledzie", „Sumy", „Śmieszki", „Szczeżuje" - nazwy zastępów związane są z morską fauną.

Z kolei II oficer składa meldunek kapitanowi:

- Ahoj, kochany kapitanie, II oficer melduje załogę „Santa Turuli” w składzie: jeden kapitan, ośmiu oficerów, dziesięciu bosmanów, 71 majtków.

Kapitan wchodzi na pokład „Santy” (rozlega się świst)

- Ahoj, załogo!

- Ahoj kapitanie! - zgodnie odpowiada załoga i po komendzie II oficera: - śpiew! - rozpoczyna hymn fregaty, a zaraz potem piosenkę „Na wyspach Bergamutach”. Apel dobiega końca. Bosmani ściągają cumy z bukszprytu, a majtkowie udają się do zajęć. Nie ma co, ten niecodzienny apel robi wrażenie... Nagle dobiega nas głos majtka: - Czy mogę iść na zawietrzną? - harcerze nie darowali nawet latrynie i „iść na zawietrzną”, znaczy udać się do obozowego sanitariatu.

A jak wygląda zwykle obozowe życie w Lubiatowie? Jak charakter obozu nakazuje, dużo czasu poświęca się nauce i doskonaleniu pływania, Jeśli tylko aura nie psuje szyków, przed południem załoga udaje się na plażę. Najmłodsi zdobywają sprawność „Już pływam”, starsi zaliczają kolejne elementy wymagań „pływaka”. Kiedy pogoda płata filgle, załoga siada w pokładowej świetlicy i przy akompaniamencie gitary dh Agnieszki wzbogaca swój „morski" repertuar. Dużo czasu załoga spędza na lądzie przeczesując lasy w poszukiwaniu jagód. Czasami leśna droga „przez pomyłkę” zaprowadzi jakiś zastęp do smażalni frytek lub lodziarni w pobliskim Kopalinie.

Marynarz powinien odznaczać się niezwykłą zręcznością, spostrzegawczością i siłą. Wyrobieniu tych cech służy codzienna poranna zaprawa oraz różnego rodzaju zabawy i gry terenowe. Majtkowie wzbogacają swą marynarską wiedzę. Szczególnie upodobali sobie naukę zwaną potocznie węzłologią. Wieczorem, przed ogniskiem, cała załoga zamiast włóczyć się po portowych tawernach, zasiada przed ogromnym ekranem, by obejrzeć i usłyszeć wszelkie nowinki z kraju, świata, a nade wszystko z fregaty. Prócz pozycji stałych, takich jak na przykład Muppet show, można obejrzeć wybory Miss Obozu '85, czy też wziąć udział w konkursie na najbardziej marynarskie nogi. Można też ujrzeć karykaturę znienawidzonego bosmana lub któregoś z oficerów (że nie wspomnę o kapitanie).

Są w życiu załogi chwile bardzo uroczyste. Właśnie wczoraj kilkoro spośród rzeszy majtków - biszkoptów zostało dopuszczonych do złożenia Przyrzeczenia Harcerskiego. Wieczorem cała załoga udała się na plażę i tam wśród szumu wiatru i huku fal wybrańcy powtórzyli za kapitanem słowa roty Przyrzeczenia.

Podczas całego, trwojącego 23 dni,rejsu załoga utrzymywała kontakty z „krajem”. Oznaką tego była nie tylko bogata wymiana korespondencji lecz także uroczyste obchodzenie rocznic ważnych wydarzeń historycznych. 15 lipca załoga postanowiła odtworzyć wydarzenia sprzed 575 lat i stanęła na polach Grunwaldu. Bitwa potoczyła się zgodnie z rzeczywistymi faktami historycznymi. Był król polski Jagiełło ze swym dzielnym wojskiem, wielki mistrz Ulrych von Jungingen na czele Krzyżaków (prześcieradła i czarne krzyże z getrów do złudzenia przypominały krzyżackie płaszcze) i Litwini pod wodzą kniazia Witolda. Krzyżakom, mimo przewagi liczebnej i najszczerszych chęci nie udało się odwrócić biegu historii - przepadli z kretesem.

W 41 urodziny Polski odbyła się uroczysta defilada wojskowa. Każdy zastęp przybrał na ten dzień barwy innego rodzaju wojsk. Spadochroniarze, kawaleria konna, marynarka wojenna, artyleria ciężka, lotnictwo. Nie zabrakło także orkiestry wojskowej prezentującej swe menażkowe rytmy.

Dzielni marynarze z „szarej siódemki" przywiązali się bardzo do swej fregaty. I choć stęsknili się za mamą czekającą w rodzinnym porcie, niejednemu łezka stanęła w oku, gdy po raz ostatni spuszczono banderę „Santa Turuli”...

Po tegorocznym obozie „szarej siódemki" oprowadziła Czytelników „Świata Młodych” **Kasia Hańska korespondentka HSI „ŚM”**

STRACH ma wielkie oczy...

Czym jest strach? Kto nie wie, niech stanie pierwszy raz na warcie. Kiedy usłyszałam, że będę pełnić ten „miły” obowiązek od 22.00 do 2.00 poczułam mrowie na całym ciele. Gdy nadszedł już czas, pocieszana i pokrzepiana przez wszystkich na duchu, wdrapałam się na platformę przy bramie. Było ciepło, ale mnie aż zarzucało ze strachu. Słychać było pojedyncze pokrzykiwania, upomnienia wart robiących obchód. Potem wszystko ucichło. Zostałam sama. Wszystko i wszyscy mnie opuścili, a ja tkwię tu jak kołek na wpół sparaliżowana ze strachu. Gdy uświadomiłam sobie, jaką wzięłam na siebie odpowiedzialność, poczułam znajome już mrowie na plecach. Przy każdym podejrzanym szeleście włosy stawały mi dęba i miałam ochotę wyć.

Na domiar złego nieoczekiwanie pod bramę podjechał jakiś samochód. Pierwszy odruch, to brać nogi za pas i uciekać. Ale... Powiedziałam sobie: spokój., spokój... czego tu się bać? Nogi jednak odmawiały mi posłuszeństwa i przy każdym kroku uginały się jakby były z waty. Wreszcie odprawiłam nocnego interesanta i z czołem zroszonym potem wróciłam. Resztą sił wpełzłam na wartownię i wsunęłam się do śpiwora. Było mi zimno. Zaczęłam przypominać sobie sprawności, które już zdobyłam. O strachu zapomniałam. Co za ulga. Nagle, jakiś szelest. Uff... to tylko zmiana warty.

Na apelu drużyna dostała pochwałę za wzorowe pełnienie służby wartowniczej.

Anka z Lublina



Staropolskim obyczajem

Słoneczny, obozowy dzień. Rozpoczęliśmy go jak zwykle, ale już nasze tajemnice miny bardzo intrygowały przebywających na naszym obozie niemieckich pionierów. Tym bardziej, że poprzedniego wieczoru przeczytano im program dnia: Dzień polski - NIESPODZIANKA. Z ogromną więc ciekawością spoglądali na nas i przygotowaną scenografię. Krąg nasz przypominał piastowy gród udekorowany totemami, przedstawiającymi życie legendarnego protoplasty dynastii Piastów. Celem całego przedsięwzięcia było poprzez wspólną zabawę przybliżyć naszym sąsiadom polskie miasta, obyczaje, bogatą historię naszego kraju.

Już przy bramie przybywających witano po staropolsku:

- Witamy was chlebem i solą, jak obyczaj naszych ojców każe. Drzwi nasze otworem dla was stoją - wypowiadali uroczyście Piast ze swoją małżonką Rzepichą.

Nasi goście nawet nie rozejrzeli się dokładnie, a już uroczyście prowadzeni stanęli w kręgu do rozpoczynającego się właśnie poloneza. Nikt nie zwracał uwagi na trzeszczący adapter, czy czasami gubiący się krok. Było tak wytwornie, dostojnie i sympatycznie, że postanowiliśmy nauczyć jeszcze pionierów krakowiaka. Po wesołej zabawie przyszła pora na obrzędy. Piast dostojnie ogłosił wszystkim:

- Dziś wielkie święto dla nas. Zbliża się chwila, gdy postrzyżyny dopełnić należy. Doszedłszy lat siedmiu chłopcy z rąk matki i spod dozoru niewieściego przechodzą pod władzę ojca...

I nagle szloch. To Baśka tak znakomicie zagrała rolę rozpaczającej Rzepichy. Wyprowadziła swego syna, by „zaczął się sposobić do męskich obowiązków". Tę scenę historyczną wykradliśmy ze „Starej baśni” J.I. Kraszewskiego, książki niezwykle nam bliskiej, zważywszy nazwę naszego obozu: „Przybysze znad Gopła".

Następnie gród nasz zamienił się w muzeum: historyczne książki ze zdjęciami, albumy miast polskich, widokówki, plakaty. Słowem wszystko o Polsce. Odbył się również uroczysty, jak wszystko w tym dniu, apel. Przekazaliśmy goszczącemu u nas właśnie na obozie komendantowi chorągwi rezolucję pokojową przygotowaną przez harcerzy i pionierów. Na koniec wręczyliśmy naszym przyjaciołom upominki, by przypominały im nasz obóz, Polskę, by mogli powrócić do tych dwóch wspólnie spędzonych tygodni.

Magdalena Królak korespondentka HSI „ŚM” Kruszwica

DLACZEGO?

My, dzieci, z Brzegu Dolnego mamy do Was wielką prośbę. Może nam pomożecie? W naszym mieście jest basen kąpielowy; już cztery lata jest nieczynny. Dwa lata temu przyszli robotnicy; spuścili wodę, wyskrobali basen, a gruz zostawili w basenie. Jeśli chcemy się wykąpać, musimy chodzić do kąpieliska aż 3 km, a nie zawsze jest tam woda zdatna do kąpieli. Co mamy robić?

Dzieci z Brzegu Dolnego

Mam 10 lat, chodzę do kl. IV. Obok mojej babci w Jeżowie Sudeckim mieszka starsza pani. Bardzo chciała mieć kotka, więc go dostała. Na początku opiekowała się nim, ale później przestała. Kotek został wyrzucony na dwór, teraz chodzi biedaczek po śmietnikach i szuka jedzenia.

Chciałabym bardzo żeby mój list, został wydrukowany. Może ta pani go przeczyta i będzie się wstydziła swojego czynu.

Malwina

BIURO POD

● Proszę korespondentów Biura POD o pomoc w skompletowaniu podręczników do II klasy Liceum Ekonomicznego o specjalności ekonomika i organizacja przedsiębiorstw przemysłowych. Zwrócę koszty przesyłki, **Anna Barwińska, ul. Świdnicka 2, 58-141 Stanowice;** ● Sprzedam lub zamienię na książki o tematyce medycznej następujące podręczniki: Zbiór zadań z fizyki (dla klasy VI, VII i VIII) - B. Mendel, J. Mendel, Zbiór zadań z algebry i geometrii dla klasy VIII - Aleksander Białas, Przysposobienie obronne dla klasy VIII, Fizyka dla kl. VIII, Fizyka dla klasy I i II technikum i liceum zawodowego. Język polski - wiadomości i ćwiczenia z gramatyki dla kl. I. LO, techników i liceów zawodowych, Gramatyka języka polskiego dla kl. VIII i I, Mechanika techniczna - Władysław Siuta, Termodynamika - Stanisław Mac, Materiały konstrukcyjne - Stefan Okoniewski, Części maszyn cz. I - Zbigniew Orlik i Wiktor Surowiak. Mam również wiele książek o różnorodnej tematyce, które zamienię na ciekawe książki medyczne. Chętnie nawiążę korespondencję z osobami uczącymi się w Liceum Medycznym i interesującymi się medycyną, Jolanta Owczarczuk ul. Bema 87 m. 82, Białystok 15-370



Też nie otrzymuję kieszonkowego

Cześć Małgorzato! Piszą do Ciebie w związku z Twym listem (40 nr „ŚM”). Mam 15 lat i podobny kłopot. Również nie dostaję kieszonkowego, ale sprawa jest prostsza. Mam mamę, która pracuje, siostry i brata. Oni również pracują. Więc dlaczego? Otóż moje rodzeństwo ciągle powtarza, że ja nie pracuję, więc po co mi pieniądze. Mama i ojciec są tego samego zdania; gdy coś dostanę, np. bluzkę, spodnie, skarpety, rajstopy, to mam dziękować za to, że mnie utrzymują.

Mamę rozumiem, bo ona mnie utrzymuje i karmi, ale rodzeństwo nie. Cóż oni mają do mnie? Mają Już własne dzieci i co tylko można to im kupują, jedna z moich sióstr rozumie mnie, bo ona podobno miała taki sam kłopot. Zasila mnie gdy potrzebuję, ale sama wołać nie mogę i nie chcę, bo mnie to boli.

Moi koledzy mają własne oszczędności, a ja nie. Więc coraz bardziej od nich się oddalam, bo pójść do kina nie mogę, do dyskoteki nie mogę, na lody nie mogę z powodu braku funduszów.

Rodzice chcą, żebym dalej uczyła się w LO, a ja się boję, że długo nie będę mogła sobie czegoś kupić i spokojnie się uczyć. Dlatego chcę iść do zawodówki i szybko się usamodzielnić.

Tob

Boję się, a jednak tęsknię...

Dotychczas nie miałam żadnych kłopotów, ale teraz postanowiłam napisać z prośbą o radę. Zdaniem chłopców jestem ładna i zgrabna, powinnam więc być zadowolona, a jednak tak nie jest.

Raz się „sparzyłam” i teraz boję się chłopców. Boję się, a jednak tęsknię i pragnę tej uczniowskiej, romantycznej miłości.

Dla chłopców jestem „maskotką”, taką laleczką przynoszącą szczęście i nikim więcej. Dlaczego tak jest? Chcę zmienić swoje postępowanie. Przykre doświadczenia wpłynęły na moje usposobienie, jestem'zimna i obojętna. Często wybucham złością i jestem rozgoryczona, oskarżam chłopców, siebie, i świat.

Może niektórzy pomyślą, że są to sprawy nieważne. Ja jednak głęboko to przeżywam. Gdybym znalazła na to radę, byłabym szczęśliwa. Z rodzicami nie mam żadnych kłopotów ani oni ze mną. Uczę się bardzo dobrze i marzę o studiach polonistycznych.

„Kiki"

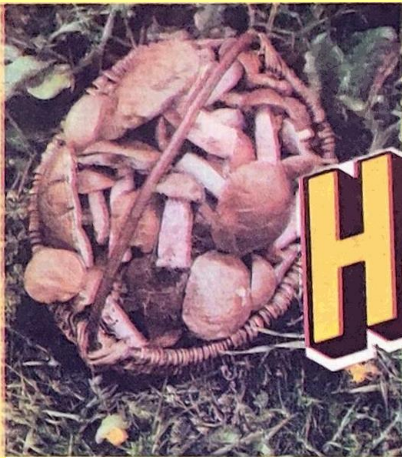
Co zdobi człowieka?

Piszę w związku z listem Jarka i Rafała pt. ,,Malują paznokcie brokatem...” „RP” nr 79. Ten list bardzo mnie oburzył. Mam... naście lat i ubieram się modnie, a niektórzy sądzą, że aż za modnie. Zastanawiam się, czemu chłopcy tak bardzo potępiają modne ubieranie się dziewcząt. Przecież nastolatki też pragną się modnie, ubierać. Np. w Austrii czy Wielkiej Brytanii* szkoła stanowi rewię mody. Tam dziewczęta, a nawet chłopcy ubierają się bardzo modnie. Dlaczego my mamy być gorsi ? Sądzę, że chłopiec nie będzie chętnie chodzić z dziewczyną niemodnie ubraną. Zresztą wiadomo już od dawna, że ubiór i uczesanie zdobią człowieka.

Oddzielny problem stanowi makijaż u nastolatek. Tego nie pochwalam, chociaż niekiedy można się umiejętnie pomalować. Najlepiej zrobić makijaż, gdy się idzie na dyskotekę czy prywatkę. Wiem, że wiele osób myśli tak jak ja, ale nie rozumiem dlaczego nie chcą pisać do „RP”. Wiem też, że wielu mój list się nie spodoba, ale ja piszę co myślę.

„Rurka"

* W większości szkół Wielkiej Brytanii chodzi się w... mundurkach!



KIEDY I GDZIE ROSNĄ

Te niezwykłe rośliny — wśród których gatunków kapeluszowych jest ponad 100 tysięcy - stanowiły od dawna pożywienie ludzi. Prawdę mówiąc pożywienie bardzo marne, gdyż tyle w nich substancji odżywczych, co kot napłakał. Zawierają bardzo dużo wody - a ich głównym składnikiem po wysuszeniu jest substancja zbliżona składem do... pancerzy chitynowych w jakich paradują owady. Więc tak po prawdzie, jeść tam nie ma co, ot chityna, trochę soli, nieco witamin, i sporo związków aromatycznych.

Grzyby są **saprofitami** (to te, które czerpią pożywienie z obumarłych szczątków roślin czy zwierząt), pasożytami (a więc żyjącymi i na żywych organizmach), żyją w symbiozie (czyli współżyją z innymi gatunkami roślin, nie robiąc sobie wzajem krzywdy).

Odkryta przez polskiego uczonego Franciszka Kamieńskiego mikoryza, czyli symbioza niektórych grzybów z korzeniami drzew i krzewów - ma dla każdego zbieracza znaczenie praktyczne. Łatwiej jest bowiem znaleźć grzyb, kiedy się wie gdzie go można spotkać. I tak np.

Borowik szlachetny - rośnie pod sosnami, dębami i brzozami, a borowik jadalny tylko pod świerkami.

Mleczaj rydz — lubi zarówno sosny, jak i świerki.

Gąski - najchętniej wyrastają pod drzewami iglastymi na glebie wapiennej.

Koźlarz pomarańczowy - wyrasta wyłącznie na glebie w której są korzenie brzóz, podobnie jak **koźlarz babka**.

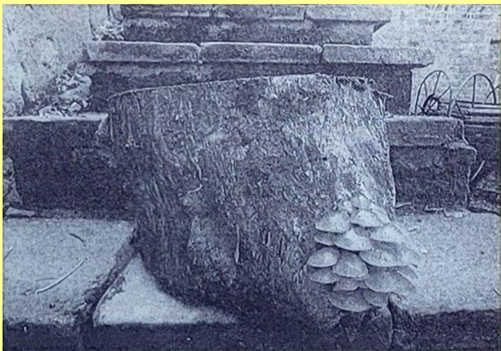
Borowiec dęty - to rzadki, dobry grzyb jadalny, którego znaleźć można tylko pod modrzewiem...

Tak więc każdy gatunek ma swoje środowisko, w którym. czuje się najlepiej oraz ulubioną porę roku. Są więc grzyby wiosenne, letnie, jesienne i... zimowe. Tak jest, nie ma w tym żadnej przesady. Jadalna, bardzo smaczna **zimówka aksamitna** (Flammulina welutipes) pojawia się dopiero wówczas, gdy temperatura spadnie poniżej 0°C. Owocuje od listopada do marca - przez całą zimę. W czasie dużych mrozów owocniki nie rosną, ale i nie giną. Po rozmarznięciu rozwijają się dalej, Zimówka rośnie dużymi kępami na martwych i żywych pniach drzew najchętniej liściastych; jest bardzo częsta w starych parkach. W niektórych krajach uprawia się ją na pszenicznej słomie.

Ten stanowczo za mało znany zbieraczom grzybek ma miąższ kremowy, taki sam kapelusz (o średnicy do 8 cm) czasami wpadający w brąz. Nóżkę pokrytą jak gdyby filcem, od strony nasady brązową, przechodzącą w prawie białą tuż pod kapeluszem. Blaszki jaśniejsze od kapelusza. Japończycy wyodrębniali z niego ostatnio substancję ograniczającą rozwój tkanek rakowych niektórych odmian nowotworów myszy.

Grzyby należą do stosunkowo najmniej dotąd poznanych roślin mimo iż rosną we wszystkich strefach klimatycznych, a niektóre z nich, jak np. pędzlaki, odegrały już ogromnie ważną rolę w medycynie. To właśnie w pleśni pędzlaka Aleksander Fleming odkrył w 1929 r. penicylinę, o znaczeniu której nie trzeba nikogo przekonywać. Produkowana od 1942 roku uratowała do dziś życie milionom ludzi. Ta dziedzina badań w zasadzie dopiero się zaczęła i ma przed sobą wielką przyszłość.

JERZY DĄBROWSKI
Fot. autora



Kolonia zimówki wyrosła na martwym pniu

DLA ZBIERACZY
– jeszcze raz te same rady

Jeszcze raz, ponieważ o tym, co za chwilę, trzeba trąbić nieustannie. W przeciwnym razie za kilkanaście lat nie będzie już co zbierać, gdyż czego niedzielni wycieczkowicze nie wydepczą, to wytłuką kijami. A więc:

- W lesie zachowuj się z szacunkiem dla wszystkiego co tam spotkasz, szczególnie dotyczy to właśnie grzybów. Jeśli nie zbierasz - zostaw je w spokoju, nie kop, nie przewracaj, nie rozbijaj kijem. Rośliny te stanowią nie tylko ozdobę lasu, ale i ważne ogniwo żywieniowe dla wielu gatunków zwierząt oraz owadów. Grzybnia rozwijająca się w ściółce zamienia ją w żyzną pożywkę dla innych roślin, m. in. drzew i krzewów.
- Bierz do koszka tylko te grzyby, które dobrze znasz, a nie wg panującego jeszcze tu i ówdzie zwyczaju, że „potem wyrzuci się te co niejadalne".
- Nie ruszaj bardzo starych egzemplarzy grzybów jadalnych! Nie tyło dlatego, że wykazują własności trujące, ale szczególnie dlatego, aby pozwolić im na wysyp zarodników.
- Zawsze wykręcaj delikatnie każdy egzemplarz, który zabierasz, lub wycinaj go nożem tuż przy ziemi. Ochraniasz w ten sposób grzybnię, z której dalej będą wyrastać grzyby.
- Barbarzyństwem jest rozgrzebywanie ściółki patykiem - szczególnie ma to miejsce jesienią, kiedy dzikie hordy „miłośników przyrody" wyruszają na poszukiwanie gąsek żółtych i zielonych.
- Zbieraj grzyby do koszyka lub pojemnika z tworzywa, w ostateczności pudła kartonowego - nigdy do siatki czy torby plastikowej, bo przyniesiesz do domu grzybową breję, sklejoną w jedną wielką; mokrą i lepką kulę!
- Jeśli sprawdzasz, przecinając nożem kapelusz, czy nie jest on robaczywy, to jeśli tego grzyba potem nie bierzesz - ukryj go pod ściółką. Chodź po lesie tak, by ci, którzy przyjdą po tobie niczego nie zauważyli.

Nie są to zalecenia szczególnie trudne do realizacji, a leżą w interesie nas wszystkich.



DOBRE GRZYBY JADALNE

1. Podgrzybek brunatny (Xerocomus badius) 2. Gołąbek zielonawy (Russula virescens), 3. Czubajka kania (Macrolepiota procera), 4. Borowik szlachetny (Boletus edulis), 5. Pieprznik jadalny (Cantharellus cibarius), 6. Koźlarz babka (Leccinum scabrum), 7. Smardz jadalny (Marchella esculenta), 8. Koźlarz czerwony (Leccinum aurantiacum)

JAK ODRÓŻNIĆ: JADALNY CZY TRUJĄCY?

Od czasu do czasu spotkać można w lesie mądralę, uważającego, że on jeden potrafi odróżnić grzyb jadalny od trującego. I tak jedni twierdzą, że to, co trujc, jest gorzkie i piekące. A wszystkie grzyby jadalne mają podobno smak łagodny.

Otóż nic bardziej mylącego, a tu pomyłka oznacza śmierć!

Muchomor sromotnikowy jest łagodny w smaku, nawet lekko słodki. Skąd wiem? Powiedział mi o tym wielki znawca grzybów i znakomity ich popularyzator, autor pierwszych powojennych atlasów, prof. Henryk Orłoś. On sam próbował smaku tego muchomora - oczywiście w specjalny sposób, dla celów naukowych i w obecności lekarza,

Zasłonak ma przyjemny zapach i smak... rzodkiewek. Inny, trujący grzyb - **strzępiak ceglasty- pachnie pięknie świeżymi jabłkami**, a **jadowita piestrzenica kasztanowata** ma smak i zapach orzechów! Ona jest na drugim miejscu w Polsce pod względem zatruć.

Niektórzy proponują inne sposoby odróżnienia, np. „próbę ze srebrną łyżeczką". Twierdzą oni, że srebro czernieje, jeśli zamieszać nim gotujące się grzyby, wśród których jest trujący.

Nieprawda! Nic nie czernieje! Natomiast wystarczy potrzeć łyżeczkę kawałkiem cebuli, żeby po pewnym czasie ściemniała...

O innych, zupełnie już magicznych sposobach nie warto nawet wspominać, gdyż jedno jest absolutnie pewne: jedynym sposobem odróżnienia grzybów od siebie jest dokładne ich poznanie. Innej drogi nie ma. A chcesz się wymądrzać to zapłacisz za to najwyższą cenę...



ZIELONA ŚMIERĆ

Corocznie zbiera swoje śmiertelne żniwo, mimo ostrzeżeń, radiowych komunikatów o zatruciach, informacji wywieszanych przy wszystkich punktach skupu grzybów. Wygląda zupełnie niewinnie: ma zielony, zielonkawy lub biały (to jedna z odmian) wierzch kapelusza, nóżkę białą lub szarawą, wysmukłą. Młode egzemplarze do złudzenia przypominają pieczarki lub gąski. To właśnie staje się główną przyczyną wszystkich śmiertelnych zatruć tym grzybem. W latach tzw. „grzybowych" jest ich w Polsce z reguły kilkadziesiąt, w tym roku już zmarło kilka osób, a przecież sezon grzybowy dopiero się na dobrą sprawę rozpoczął,..

GROŹNIEJSZY NIŻ KOBRA

Grzyb ten nosi nazwę muchomora sromotnikowego (Amahita phalloides), a jego jad przyrównywany jest - pod względem siły działania - do jadu kobry, tylko że ma go o wiele więcej. Jest NAJBARDZIEJ TRUJĄCYM GRZYBEM ŚWIATA! Śmiertelna dawka dla człowieka wynosi 3 dag masy grzyba, Objawy zatrucia występują z reguły za późno, aby można było im przeciwdziałać, często nawet po 40 godzinach od momentu spożycia potrawy.

Toksyny zawarte w muchomorze sromotnikowym uszkadzają nerki, wątrobę, mózg, naczynia włosowate, włókna mięśniowe. Objawy zaczynają się zwykle od bólu głowy, nudności, wymiotów, bólów brzucha. Potem dochodzi do tego biegunka, ogólny spadek sił, zaburzenia w krążeniu krwi, żółtaczka - i po 3-5 dniach śmierć. Czasami zdarza się chwilowe polepszenie, ale jest złudne, gdyż po kilku dniach bezobjawowych najgorsze objawy powracają stopniowo nasilając się. Śmierć, poprzedzona bardzo silnymi bólami, następuje na ogół przy pełni świadomości.

Jeśli ktoś przetrzyma piąty dzień choroby może mieć nadzieję na wyleczenie z tym, że rekonwalescencja trwa wiele tygodni i człowiek wychodzi z tego z poważnie uszkodzonymi organami wewnętrznymi.

JAK RATOWAĆ CZŁOWIEKA ZATRUTEGO TYM MUCHOMOREM?

Po pierwsze, przy najlżejszych podejrzeniach zastosować środki przeczyszczające, dać do picia dużo surowego mleka lub letniej wody z solą, aby jak najszybciej wywołać wymioty. To może zadecydować o życiu osoby, która uległa zatruciu. Podać węgiel aktywny i natychmiast odwieźć do szpitala. To samo dotyczy wszystkich osób, które brały udział w jedzeniu tych samych grzybów, nawet jeśli u nich nie występują jeszcze żadne objawy! Przypominam, że różny jest czas ich występowania, najszybciej reagują ludzie młodzi i dzieci - najpóźniej starsze osoby.

Bezwzględnie należy zabrać do szpitala resztki grzybów lub potrawy z nich, a nawet kał czy wymiociny tych, u których wystąpiły objawy. Tu nie ma żartów! Zdecydowana i szybka interwencja może w niektórych wypadkach uratować życie. Śmiertelność po tym zatruciu jest wśród dzieci dwa razy większa niż wśród dorosłych!

Warto przy tej okazji zdać sobie sprawę z faktu, iż lekarz przyjmujący w szpitalu pacjenta z takimi objawami jest w bardzo trudnej sytuacji, ponieważ nie muszą one oznaczać zatrucia grzybami. Czasami podobne objawy towarzyszą innym, równie ciężkim zatruciom pokarmowym. Dlatego właśnie należy zrobić wszystko co tylko można, aby dostarczyć lekarzowi próbki, o których wcześniej pisałem.

TRAGEDIA W BIERZGLINIE

Jedno z najliczniejszych masowych zatruć tym grzybem - opisane w literaturze fachowej - zdarzyło się w miejscowości Bierzglin pod Wrześnią w 1918 roku. Pod koniec wakacji zmarło tam 31 chłopców z Westfalii, którzy na zakończenie kolonii postanowili nazbierać grzybów i dać je do przyrządzenia kucharce. Tak też zrobili. Po obejrzeniu, kucharka wraz z kierowniczką uznały je za jadalne. Zrobiono więc z nich potrawę na kolację. Wszystkich chłopców było 32, jeden jednak powiedział, że nie chce jeść, podobnie jak nauczycielka i kucharka. Te trzy osoby ocalały. Być może dałoby się jeszcze kogoś z tych, którzy jedli te grzyby uratować, ale lekarz zawezwany z Wrześni po pierwszych objawach, sprawę zbagatelizował, stwierdzając niegroźne zaburzenia żołądkowe. Dopiero gdy drugiego dnia zmarło kilku następnych, pozostałych chłopców zawieziono do szpitala, ściągając wybitnych specjalistów, profesorów z Poznania, Wrocławia i Berlina. Ale było już za późno. Nie udało się nikogo wyrwać śmierci...

Repr. **J. Dąbrowski**

PODOBNY DO BOROWIKA



Równie niebezpiecznym grzybem jak muchomor sromotnikowy jest **zasłonak rudy** *(Cortinarius orellanus)*. Po raz pierwszy stwierdził jego toksyczność Polak, dr Stanisław Grzymała, po rozległych badaniach m. in. ponad stu zatruć grzybami na pograniczu Poznańskiego i Bydgoskiego w r. 1952 r., z których kilkanaście skończyło się śmiercią. Okazało się, że powodem ich jest piękny brązowy grzyb, z wierzchu przypominający borowika, mający jednak pod kapeluszem szerokie blaszki. Objawem zatrucia było silne pragnienie, dreszcze, nudności; bóle brzucha i pieczenie w ustach.

Najgorsze, iż pierwsze objawy pojawiają się niekiedy nawet 2-3 tygodnie od chwili spożycia tego zdradliwego grzyba. Zatrucie ma charakter przewlekły, zanotowano nawet wypadki zgonu po kilku miesiącach! Toksyny zasłonaka - nie zbadane jeszcze dokładnie - atakują przede wszystkim nerki, uszkadzając je nieodwracalnie.

Przy zatruciach tego typu jedynym ratunkiem jest natychmiastowe przewiezienie do szpitala. W przypadku zasłonaka - tak jak i muchomora sromotnikowego - trujące są również zarodniki, które osiadają na wszystkim dookoła.

A więc, zbierając grzyby, patrz nie tylko na ich gatunek, ale i na to, co rośnie w pobliżu...

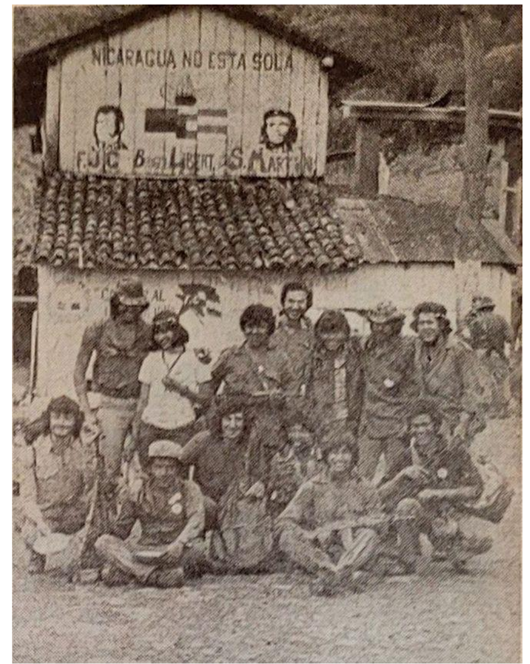
Repr. **M. Włodarski**

KAWA PACHNĄCA PROCHEM

Terenowa „Niwa" wyje na wysokich obrotach silnika pokonując strome podjazdy i zjazdy. Wąska, górska droga pnie się cięgle zboczami porośniętymi dziką, tropikalną roślinnością środkowoamerykańskiej dżungli zwanej selwą, a każdy zakręt otwiera przed nami nowe, zapierające dech w piersiach widoki. W innych okolicznościach pewnie bym się nimi zachwycał, teraz jednak głowę zaprząta myśl, że jesteśmy w strefie działań wojennych, zaś na końcu tej drogi jest plantacja kawy o wymownej nazwie „La Trampa", co po polsku oznacza... pułapkę.



Najmłodsi pełnią służbę wartowniczą w zaimprowizowanych bunkrach na okolicznych wzgórzach



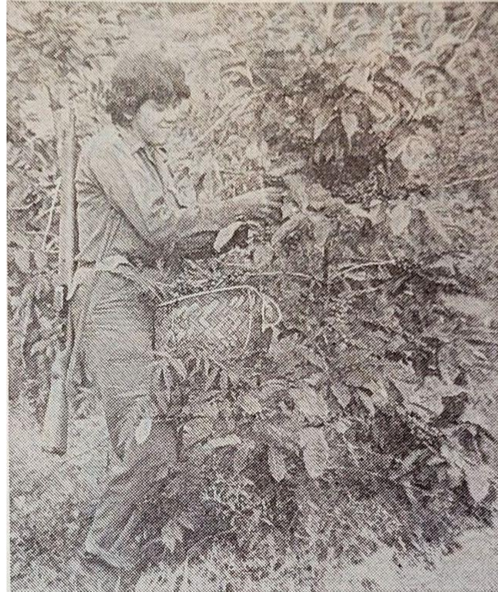
W niedzielne popołudnie jest czas na pamiątkowe zdjęcie na rynku hacjendy

Finca „La Trampa" nie odbiega wyglądem od wielu innych gospodarstw plantacyjnych uprawiających kawę. W płaskiej kotlince otoczonej z trzech stron stromymi, zalesionymi zboczami, kilka drewnianych baraków zgrupowanych wokół niewielkiego placyku. Nieco z boku, na wzgórku, wyraźnie porządniejszy, dawny budynek właściciela plantacji, zaś poniżej mała przetwórnia kawy. Na tej niewielkiej przestrzeni przez kilka miesięcy w roku, od listopada do początków marca, żyje kilkuset ludzi. Większość z nich to uczniowie i studenci nikaraguańscy spędzający tu swoje... wakacje. Jakże jednak szczególne wakacje!

Kawa, oprócz bawełny, jest podstawowym bogactwem Nikaragui. To ona przynosi młodej republice sandinistowskiej lwią część dochodu narodowego. W sytuacji ekonomicznej blokady kraju przez Stany Zjednoczone, to właśnie eksport kawy pozwala na zdobycie środków dewizowych służących utrzymaniu stabilizacji gospodarczej kraju. Nic więc dziwnego, że małe czarne ziarenka, tak cenione przez smakoszy na całym świecie, są solą w oku przeciwników socjalistycznych przemian, które rozpoczął rząd Sandinistów. Przenikające od północy w głąb kraju bandy „Contras", złożone ze zwolenników obalonej przed 6 laty dyktatury Anastasio Somozy, atakują plantacje kawy, strzelając do zbieraczy i niszcząc zbiory.

Kraj znajdujący się w stanie wojny z reakcyjną, doskonale wyszkoloną i uzbrojoną partyzantką, żyjący w ciągłym zagrożeniu interwencją z zewnątrz, został postawiony przed koniecznością mobilizacji obronnej. W tej sytuacji do batalii o kawę ruszyła młodzież nikaraguańska. Studenci oraz uczniowie szkół średnich (których tu także zwie się studentami) utworzyli Studenckie Bataliony Produkcyjne, czyli tzw. BEP-y (od nikaraguańskiej ich nazwy - Bataliones Estudiantes de Produccion). Takie bataliony formowane są zaraz po zakończeniu roku szkolnego, w listopadzie. Młodzież zgłaszająca się ochotniczo ze szkół i uczelni, formowana jest na sposób wojskowy w plutony, kompanie i bataliony, uzbrajana w pistolety maszynowe i karabiny, a następnie po krótkim przeszkoleniu kierowana na północ kraju, na górskie plantacje kawy.

W ten właśnie sposób do „La Trampy" trafił BEP im. Ernesto Che Guevary, złożony w głównej mierze z młodzieży ze stołecznej Managui. „La Trampa" leży w górach prowincji Jinotega, na północy kraju, w rejonie objętym szczególnie żywą działalnością „Contras". Nie mają tu BEP-owcy lekkiego życia, ale też na takie wcale nie liczyli. Wiedzą, że są tu potrzebni.



Nawet dziewczęta ani na chwilę nie rozstają się z bronią — atak na plantację może nastąpić w każdej chwili



Niewielki teren hacjendy skupia w sobie wszystkie funkcje życiowe małego osiedla. Wychodzenie na zewnątrz, na teren niestrzeżony jest niebezpieczne

* * *

Pobudka na godzinę przed świtem. Duży, drewniany barak tonie w półmroku słabo rozświetlonym przez nieliczne, blade żarówki pulsujące nierównym prądem z agregatu. W półmroku. Wokół piętrowych, drewnianych prycz żywa krzątanina. Ubranie się i zwinięcie posłania, które składa się zazwyczaj z jednego koca, nie zabiera wiele czasu. Potem szybki posiłek (gajo pinto – ryż z czarną fasolą — na tortilii — placku kukurydzianym, popijane czarną kawą) w baraku szumnie nazwanym stołówką. Tuż przed wyjściem, w bladej poświacie rozpoczynającego się świtu poranny reunion, czyli apel. Batalion stoi w pełnym rynsztunku przygotowany do wymarszu na plantację. Każdy zbieracz oprócz służących do zbierania kawy plecionego koszyka (tzw. lasty) oraz dużego worka, wyposażony jest w karabin i amunicję; z którymi nie rozstaje się tutaj praktycznie ani na chwilę. W czasie, gdy na apelu następuje podział terenów zbierania, sumowanie dotychczasowej pracy i pochwały dla najlepszych, najmłodsi — 12-14-letni BEP-owcy wyruszają na plantację. Oni nie wytrzymaliby trudów całodziennego zbierania kawy, lecz ich rola jest niemniej odpowiedzialna — otoczą teren zbiorów czujkami i będą strzegli bezpieczeństwa reszty batalionu. Po ubezpieczeniu terenu rusza w góry cały batalion. Wystarczy przejść 2-3 kilometry, by znaleźć się na właściwym polu kawowym.

Krzewy kawy wyrastają do 3 m wysokości. Na stromym zboczu nie sposób zastosować np. drabiny. Wyższe drzewka przygina się do stoku i obiera z owoców. Wymaga to iście ekwilibrystycznych umiejętności, by z karabinem na ramieniu utrzymać się na stromym, nierzadko błotnistym zboczu, przyginając do siebie gałęzie i zrywać twardo osadzone na nich czerwone owoce kawy, następnie wrzucić je do zawieszonego na piersiach płaskiego koszyka. Najdrobniejszy błąd grozi rozsypaniem całego kawowego urobku na ziemię. Mimo to, zadziwia szybkość i perfekcja z jaką BEP-owcy obierają gałęzie kawowe. Jest zresztą prowadzone współzawodnictwo, a najlepsi zbierają nawet po 2 worki dziennie. Przybyszom znad Wisły daleko jednakże do takich wyników, choć pocieszają nas wszyscy, że nasz 1 worek na dwóch, to bardzo dobre osiągnięcie... jak na początek. Podobno i tak jesteśmy lepsi od Argentyńczyków, którzy byli tu przed nami.

Ciężki dzień pracy, przerwany tylko obiadem (oczywiście „gajo pinto" na „tortilii") dowożonym około południa na miejsce zbiorów, kończy się o godzinie 16.00 - po to, by przed zmrokiem odtransportować uzbieraną kawę. I tak siedem dni w tygodniu! Siedem, bo w niedzielę też się pracuje, tyle że krócej. Chwile wytchnienia zdarzają się jedynie wieczorami, jeżeli nie wypada akurat jakaś warta lub patrol. Wtedy jest czas na odprężenie, kontakty towarzyskie czy zabawę. Rozrywek wielu tutaj nie ma, ale nie byliby Nikaraguańczycy Latynosami, gdyby nie potrafili ich sobie znaleźć sami - baraki mieszkalne aż huczą wieczorami od śpiewów, a nawet tańców organizowanych przy gitarze i... bębenku z bambusa. Taniec i rytm mają we krwi.

Gdy spytałem 13-letniego Ricardo, który z powagą przytulał wielki karabin do swego zbyt dużego munduru - czy nie wolałby spędzić wakacji z rodziną lub z kolegami gdzieś na spokojnym, słonecznym południu kraju, spojrzał na mnie zdziwiony i odparł: - U nas jest wojna! Wszyscy moi koledzy są tutaj. Ci, którzy zostali nie są moimi kolegami!

OLGIERD LEWAN
Fot. **autora**



„Dziadek" Ivan

„Gigant toru w blasku tysiąca i jednego zwycięstw - Ivan Mauger - nowoczesny olbrzym przy najdroższym motocyklu świata, pokrytym złotem i ubezpieczonym na kwotę 8 tys. funtów" - głosił podpis pod zdjęciem zamieszczonym w książce Dave'a Lanninga, wydanej w połowie lat siedemdziesiątych. Wtajemniczeni twierdzili, że z tym złotem to była prawda. Ówczesny motocykl Maugera pozłocili kibice amerykańscy, gdy zdobył on trzeci z rzędu tytuł indywidualnego mistrza świata.

Ivan Mauger wielką międzynarodową karierę rozpoczął podczas finału Mistrzostw Świata w Göteborgu W 1966 roku, zajmując w nim dopiero 11 miejsce. Rok później, na Wembley, był już trzeci, a w 1968 roku, znów w Göteborgu, zdobył swój pierwszy tytuł mistrza świata.

Dziś, urodzony przed 46 laty, 4 października 1939 roku w Christchurch, Iwan Mauger ma na swym koncie już 6 takich tytułów i jest pod tym względem absolutnym rekordzistą. Nie wydaje się, aby przy obecnym rozwoju techniki, gdy niemal co roku są doskonalsze maszyny, mógł mu ktoś ten rekord odebrać.

„Dziadek", jak o nim mówią serdecznie ci wszyscy, którzy podziwiają jego wspaniałą i długą karierę (rzeczywiście dochował się już wnuka), pierwszy zasłynął z błyskawicznego refleksu na starcie i olbrzymiego przyspieszenia na początkowych metrach toru. Dzięki takim umiejętnościom, tak jak on wtedy, dziś jego następcy wygrywają wielkie zawody.

Skrupulatni statystycy wyliczyli, iż finał Mistrzostw Świata Par na żużlu, jaki odbył się w połowie czerwca tego roku w Rybniku, było 50 finałem wielkiego Maugera. Na konferencji prasowej przed tymi zawodami sam o sobie powiedział: „Nie należę już do faworytów. Mój czas mija". I to prawda.

W tym roku ten wspaniały sportowiec obchodzi jubileusz 30-lecia startów. Z tej okazji zorganizował serię turniejów W Australii; Nowej Zelandii, Ameryce i Europie. Dwa z nich odbyły się w Polsce: 24 sierpnia w Bydgoszczy i dzień później — w Lesznie. Kto był, na pewno podziwiał najsławniejszego żużlowca świata - Ivana Maugera.

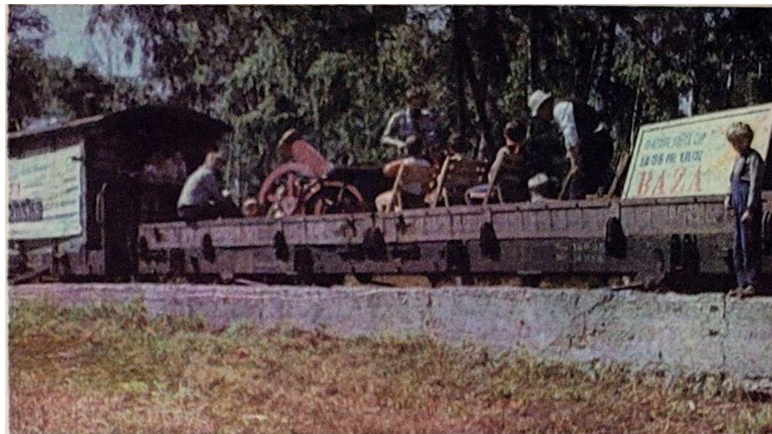
Tekst i zdjęcia:
ZBIGNIEW BISANZ

Zdjęcia zostały wykonane podczas 50 finału mistrzostw świata, w jakim startował Iwan Mauger, w Rybniku, 15 czerwca 1985 r.



W BAZIE „OJCA MURPHY'EGO”

Mimo groźnie wyglądającej armaty ciągnionej na platformie grupa „Długiej Kaśki” nie zrezygnowała z napadu ▶



Wreszcie u celu. Na polanie „ojciec Murphy” w otoczeniu swych podopiecznych ▼



Wesoły, pociąg wyruszył z Kalisza punktualnie, jak zapowiadano o 9.10. W składzie wąskotorówki lokomotywa udekorowana uśmiechniętym słoneczkiem, wagon pocztowy, dwa wagony pasażerskie - w których rozłożyli się bywalcy nalowskiej bazy „Słonecznych” i platforma z okazałą armatą. A tak, z armatą, ponieważ wybieramy się na „piknik na dzikim zachodzie” i kto wie, co się może przydarzyć...

Wszyscy już zajęli dogodne miejsca. Niektóre panienki dobywają z koszyczków smaczne wiktuały, jakaś grupka śpiewa, kowboje wraz z Indianami rozmawiają przyjaźnie o swych męskich sprawach, kilka osób uczepionych okien obserwuje przesuwający się wolno krajobraz. Sielanka. Nasza ciuchcia zbliża się powoli do ściany gęstego lasu i nagle...

Dym, huk, niesamowite wrzaski. Z krzaków wyskakuje „Długa Kaśka” ze swoimi ludźmi. No, tak. Przecież to „dziki zachód”, a więc i na takie okoliczności trzeba być przygotowanym.



Kolorowa, wesoła gromada „słonecznych” wzbudzała na całej trasie ogromne zainteresowanie. Na jednej ze stacji dołączyło do nich kilkanaście dziewcząt i chłopców ze Zbierska

- Napad! — ktoś przytomny od razu rozpoznaje sytuację — Wszyscy do wagonu pocztowego! Bronić złota!

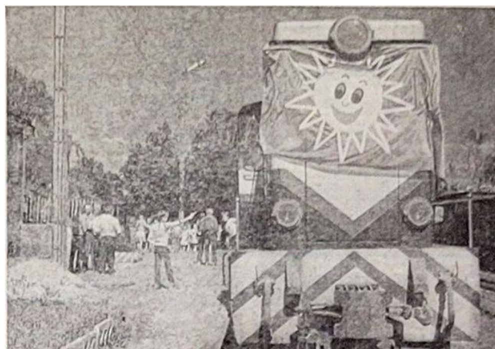
Rumor się zrobił niesamowity, chłopcy ruszają pierwsi, ale i białogłowy niewiele im ustępują. Napastnicy po krótkim czasie są już unieszkodliwieni. Uff... można jechać dalej.

Potem już spokojnie, bez żadnych niespodzianek, nalowska ciuchcia dociera do polany w Smaszewie. Całe bractwo wysypuje się do lasu, przy pociągu zostają tylko straże. Przecież może się coś jeszcze przydarzyć...

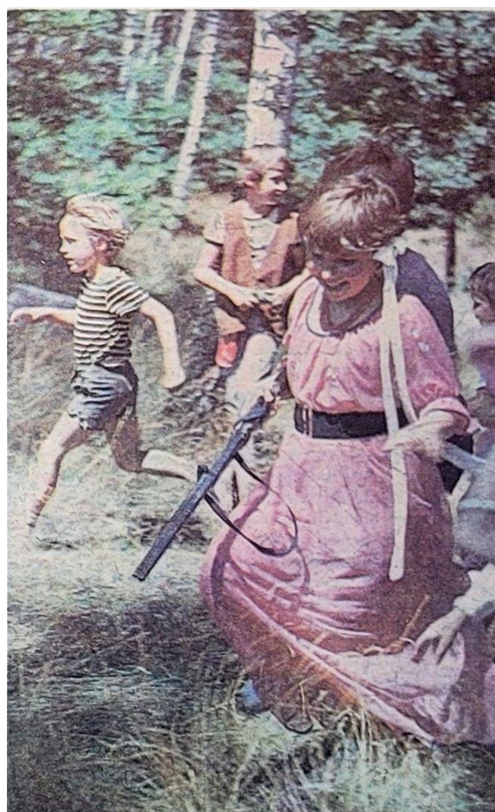
„Grajek z Cansas" wyciąga harmoszkę i płyną dźwięki kowbojskiej polki. Zaproszenia do tańca nie trzeba powtarzać; po blisko dwóch godzinach jazdy każdy chce rozprostować nogi. Zaraz tworzy się barwny korowód i rusza między drzewa. Potem są inne zabawy, spacery po lesie, śpiewanki, gry i wspólny obiad (przywieziony w termosach bigos).

Tak właśnie spędziła jeden z wakacyjnych dni kilkudziesięcioosobowa gromada dziewcząt i chłopców, mieszkańców Dobrca — najmłodszej dzielnicy Kalisza. Mimo że nie wyjechali na kolonie czy obozy są ogromnie zadowoleni z kilkunastu dni spędzonych w bazie NAL, założonej w Szkole Podstawowej nr 17 przez Komendę Hufca ZHP i Spółdzielnię Mieszkaniową XXXV-lecia PRL. Sama baza zresztą była tylko najczęściej miejscem porannych zbiórek przed licznymi wyprawami oraz użyczała schronienia, gdy kapryśna aura dawała się we znaki. Ale i wówczas nie było czasu na nudę. Wśród różnych propozycji przygotowanych przez instruktorów każdy mógł znaleźć coś interesującego. Podział na zastępy i ich nazwy mówi sam za siebie. „Pacykarze Długiej Kaśki” skupili w swych szeregach lubiących malować. Oprócz tego robili kukiełki z warzyw, sznurków, patyków i wystawili teatrzyk o „Szewczyku Dratewce” i „Śpiącej królewnie”. „Rozśpiewane dzieci Baby-Jagi”, oczywiście, poznawały nowe piosenki i tańce. „Tropiciele historii” zapoznawali się z pamiątkami przeszłości, a „Olimpijczycy” ćwiczyli się w różnych konkurencjach sportowych. Całością zawiadywał druh Czesław Kurzajewski,. zwany przez nalowców „ojcem Murphy".

Chciałoby się, by po zakończeniu wakacji na kaliskim osiedlu (i nie tylko tam) było równie wesoło i ciekawie, (**mj**)



Takiej pięknej, ozdobnej szaty wysłużona lokomotywa wąskotorowej kolejki nigdy dotąd nie miała



Wojowniczym białogłowom nie przeszkadzały nawet długie, zwiewne szaty

Fot. **Maria Jaworska**

Znajomi ze znaczka



JEDYNE PISMO REDAGOWANE PRZEZ DZIECI

Tworząc „Mały Przegląd" Janusz Korczak pisał:

- jest wielu ludzi dorosłych, którzy piszą tylko dlatego, że się nie wstydzą. Są dzieci, które mają wiele ciekawych pomysłów, uwag i spostrzeżeń, a nie. piszą przez brak odwagi, albo im się nie chce. Dziennik nasz zachęci i ośmieli do pisania!

I rzeczywiście, dzieci pisały. Pierwszym głośniejszym listem była skarga siedmioletniego Nastusia, że mama każe mu chodzić do szkoły w fartuszku, żeby nie pobrudził ubrania, a inne dzieci śmieją się z niego. „Mały Przegląd" przekonał mamę Nastusia, że jego problem odpowiada cierpieniu jej samej, gdyby została zmuszona do wyjścia na miasto w kapeluszu swojej babci...

Bo sprawy dzieci nie są ani błahe, ani głupie, ani mało ważne, tylko inne, wymagające zrozumienia; życzliwości; uwagi.

Janusz Korczak, prawdziwe nazwisko Henryk Goldszmit (22 VII 1878 - 5 VIII 1942).

Urodził się w Warszawie, tu skończył studia na wydziale lekarskim UW, dokształcał się w Berlinie, Paryżu i Londynie, W1903 r. rozpoczął praktykę lekarską w szpitalu dziecięcym w Warszawie, w 1911 został kierownikiem Żydowskiego Domu Sierot na Krochmalnej. W czasie pierwszej wojny światowej był lekarzem wojskowym i potem pediatrą w Kijowie.

Po wojnie wrócił na Krochmalną, zorganizował także internat dla dzieci polskich w Pruszkowie, pod patronatem związków zawodowych. Na krótko poszedł w 1920 r.. znowu na front (został majorem WP), potem poświęcił się dzieciom całkowicie, dzieląc czas między oba sierocińce. „Nasz Dom” przeniósł się w 1928 r. z Pruszkowa na Bielany do nowego gmachu.

Korczak stosował specjalny system wychowawczy, polegający na samorządzie dziecięcym z Sądem, Sejmem i Gazetą; Od 1926 r. redagował z dziećmi „Mały Przegląd”, gdzie drukowano tylko listy i prace dzieci oraz wypowiedzi samego Korczaka. Poza pracą wychowawczą, lekarską i organizatorską, Korczak pisał artykuły fachowe oraz książki dla dzieci i dorosłych. Najbardziej znane to **„Dziecko salonu”,' „Król Maciuś Pierwszy”, „Kajtuś Czarodziej”, „Jośki, Mośki, Srule”, „Józki, Jaśki, Franki”, „Prawo dziecka do szacunku”** i wiele innych. W 1935 r. jako „Stary Doktor" wygłaszał pogadanki radiowe dla dzieci i o dzieciach. W 1936 r. wskutek wzrostu nastrojów antysemickich zerwały się kontakty z radiem i „Naszym Domem”, pozostał tylko Dom Sierot. A jednak w 1937 r. Korczak otrzymał z rąk ministra oświaty Złoty Wawrzyn za twórczość literacką.

W 1940 r. (w czasie okupacji) Dom Sierot został przez hitlerowców przeniesiony do getta. W lutym 1942 Korczak reorganizował przytułek dziecięcy na Dzielnej. Nie przyjął ofiarowanej pomocy i szansy osobistego ocalenia - 5 sierpnia 1942 r. razem z dziećmi wymaszerował pod zielonym sztandarem Domu Sierot do obozu zagłady w Treblince...

Znaczek wydany w 1962 r. w serii z okazji Roku Korczakowskiego,. proj. J. Srokowski wg rzeźby Dunikowskiego.

(kg)

Repr. **M. Włodarski**

RENAULT 5 SUPER VAN CING

Zmodernizowanej wersji bardzo popularnego francuskiego samochodu RENAULT 5 nie prezentowałem w naszym kąciku. Zewnętrznie nowy RENAULT 5 niewiele się różni od swojego poprzednika. Korekcie uległy tylko niektóre jego linie, a to po to, by doprowadzić do zmniejszenia zawirowań i uzyskać maksymalnie korzystny współczynnik oporu powietrza. W tym celu między innymi wzorowo zaprojektowano umieszczenie zespolonych świateł tylnych, które z bryłą nadwozia tworzą jednolitą powierzchnię.

RENAULT 5 należy do samochodów na bazie których specjalistyczna firmy nadwoziowe dokonują przeróbek nadwozia. W ich wyniku powstają różne wersje nadwoziowe samochodu o specjalistycznym przeznaczeniu.

Do znanych wytwórni francuskich modelujących nadwozia seryjnie wytwarzanych samochodów należy firma Henri Heulieza działająca pod nazwą France Design Henri Heuliez. Jej dziełem jest zmodernizowany RENAULT 5 przedstawiony na załączonej ilustracji, który dodatkowo określono nazwą SUPER VAN CING.

Firma Henri Heulieza wytwarza go w kilku odmianach jako 7, 5 i furgon 2-osobowy. Jego budowa oparta została na wydłużonym nadwoziu, którego długość wynosi 3921 mm. Dłuższe nadwozie spowodowało też konieczność wydłużenia o 30 cm rozstawu osi.

Przednia część samochodu łącznie z przednimi drzwiami nie różni się od seryjnej wersji RENAULTA 5. Zmianie uległy tylne drzwi i układ wnętrza za przednimi siedzeniami. Tylne drzwi nie są otwierane tak jak w większości samochodów, lecz odsuwane do tyłu. Za tymi drzwiami znajduje się jeszcze tylna część nadwozia, w której po obydwu stronach umieszczono małe trójkątne okna.

We wnętrzu w zależności od potrzeb znajdują się dwa rzędy foteli, z tym, że w wersji 7-osobowej w ostatnim rzędzie znajdują się 3 fotele. W odmianie przeznaczonej do przewozu ładunków nie ma siedzeń.

Ze względu na taką konstrukcję samochód ten najczęściej bywa wykorzystywany jako taksówka osobowa - dotyczy to wersji 7-osobowej. Może on również spełniać rolę pojazdu campingowego, gdyż po złożeniu foteli tworzą się wygodne miejsca do spania. Wreszcie - może służyć jako furgon do przewozu przedmiotów wymagających właściwego zabezpieczenia i zapewnienia odpowiednich warunków transportu, oraz samochód dyspozycyjno-konferencyjny.

Wyposażenie części osobowo-towarowej w drzwi przesuwane ułatwia znacznie manewrowanie samochodem po zatłoczonych ulicach miast.



Wymiary tego przebudowanego RENAULTA są następujące: długość 3921 mm, szerokość 1580 mm, wysokość 1438 mm.

RENAULT 5 wyposażony jest seryjnie w 4-ro cylindrowy rzędowy silnik o pojemności 1397 cm sześc. i mocy 62 kW, Umieszczony on jest z przodu, a napęd od niego przekazywany jest na przednie koła za pośrednictwem 5-cio przekładniowej skrzyni biegów. W te same mechanizmy wyposażony jest również RENAULT 5 SUPER VAN CING.

ZENON DUTKIEWICZ

Tajemniczy ptak nocny - LELEK KOZODÓJ

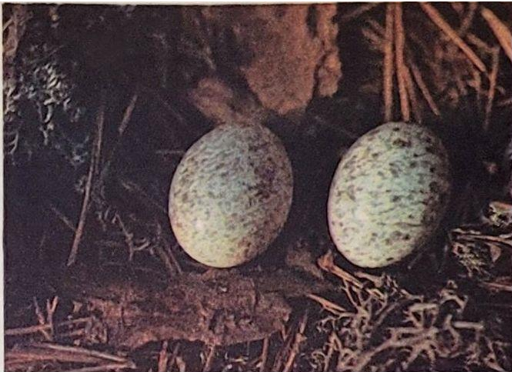
Znajomy zaprowadził mnie do znalezionego przez siebie gniazda lelka. Było to na słonecznej, piaszczystej porębie wśród boru, pod kilkoma sosenkami. Gdy znaleźliśmy się tu, mój przewodnik wskazał ręką płacheć ziemi pokrytej igliwiem: „Twardo siedzi! O, tu widzisz" - rzekł. Popatrzyłem na wskazany mi kawałek ziemi raz, drugi, trzeci, ale nic, absolutnie nic poza sosnowymi igłami, patykami, kawałkami kory i mchami nie byłem w stanie spostrzec, choć miejsce to było tuż-tuż, nieledwie koło czubków naszych butów.

I nagle... aż mi się zrobiło gorąco z wrażenia! Spostrzegłem! To znaczy - właściwie tylko uświadomiłem sobie, że widzę, że pewien zespół plam, cętek itp. w istocie jest, musi być lelkiem kozodojem. Bo przypominał on w tej chwili wszystko, tylko nie ptaka.

Najbardziej może podobny był do podłużnego kawałka zeschłej kory sosnowej. Ale szparki przymkniętych oczu zdradzały, że to jednak żywa istota. Jakaż dziwna! W tej chwili doznałem kilku naraz skojarzeń, odżyło wiele różnych obrazów przyrodniczych, oglądanych niegdyś - czy to na żywo, czy na ilustracjach. A więc skojarzył mi się lelek z jakąś wielką, upiorną, martwą ćmą, a po chwili - wydał podobny do głowy - afrykańskiej żmii, czającej się wśród ściółki na zdobycz - a oglądanej kiedyś na filmie. W sumie - przeważyły skojarzenia niemiłe, a przyczajony na gnieździe ptak wydał się odpychającym dziwolągiem - nader zresztą trudnym do zauważenia. Odruchowo cofnąłem się, mój towarzysz też to uczynił i odeszliśmy, nie płosząc ptaka z gniazda. Co nam zresztą nie przeszkodziło wrócić innym razem i rozpocząć obserwacje...

Przytoczyłem tu to wspomnienie, by ukazać' niezwykłość tego ptaka i niezwykłe wrażenie, jakiego możemy doznać przy spotkaniu z nim. A teraz już-na życzenie m. in. Witolda Ciesielki ze Szczawnicy - garść zwięzłych o nim informacji.

Należy do rzędu lelkowatych i rodziny kozodojów. Jest jedynym gatunkiem z tej rodziny, jaki zamieszkuje Europę. Jego krewniacy - m. in. lelek egipski, czy lelek rdzawoszyi - zasiedlają pustynne rejony Afryki. W ogóle lelki - a w tym i „nasz" - lubią biotopy suche. Lelek kozodój jest ptakiem leśnym, ale wybiera łukowate lasy sosnowe na jałowych, piaszczystych glebach z dużą ilością zrębów, polan porośniętych chrobotkami, wrzosowisk itp. Wiosną przylatuje tu z Afryki w maju, a po odbyciu lęgów (bo nieraz odbywa 2 lęgi w roku) w sierpniu-wrześniu odlatuje. Wędruje „solo" lub w małych grupach. Czasem wędrujące ptaki zlatują do parków, ogrodów, na działki itp. Lelek kozodój wiedzie zdecydowanie nocny tryb życia. W dzień śpi gdzieś na gałęzi czy wśród mchów i wtedy możemy zobaczyć ptaka jedynie, gdy go przypadkiem spłoszymy. Pod wieczór wyrusza na łowy. Poluje na duże, latające po zmierzchu owady. Może je pochłonąć dzięki temu, że ma bardzo duży i szeroki otwór gębowy - wprost „paszczę", wobec której sam dziób jest malutki, jakby tylko „śladowy". Ten ważny szczegół anatomiczny lelka dobrze widać w atlasach, a w naturze - dużo trudniej go stwierdzić, chyba, że spotkamy młode podloty, które będą otwierać swe piękne wewnątrz pomarańczowe paszcze, by nas nastraszyć. Ta właśnie paszcza przyczyniła się do nadania lelkowi nazwy „kozodój" - dawno temu posądzono go bowiem że „doi kozy" i tak zdobywa pożywienie. Lelek co prawda lata pod wieczór koło bydła czy kóz na pastwisku, ale nie po to, by je doić - bo tego nie potrafi - lecz ze względu na obfitość kręcących się tam owadów.


Dwa jajka ułożone na ściółce leśnej — ot, całe gniazdo!

Wiosną samiec na zajętej przez siebie polanie czy porębie śpiewa, a właściwie - warczy, wydaje przeciągły, trwający nieraz bez przerwy 2-3 minuty warkot brzmiący jak„erro-oo-errorooo". Głos ten wydaje o zmierzchu, często też w charakterystyczny sposób klaszcze skrzydłami.

Lelki wcale nie budują gniazda, a nawet w żaden sposób nie przygotowują miejsca, gdzie mają leżeć jaja. Samica składa je wprost na igliwie czy mchu, nawet go nie wygniatając. Jaja lelka są białe, nie mają barw ochronnych. Ale za to - ma je wysiadujący ptak, i to jakie! Jest on chyba jednym z najbardziej uderzających przykładów przystosowania zwierzęcia do otoczenia. Lelka czyni niewidocznym nie tylko upierzenie, ale całe zachowanie. Siada na ziemi zawsze tak, by nie rzucać cienia, a nadto kołysze się przy tym w taki sposób, że przypomina smagany wiatrem suchy listek. Widziałem to z bliska, z szałasu obserwacyjnego i zapewniam, że w takiej chwili podobieństwo lelka do chwiejącego się na wietrze liścia czy kawałka kory jest wprost uderzające. Wywołuje to zresztą nader komiczne wrażenie. Oczywiście takie zachowanie nie ma charakteru jakiejś świadomej „gry aktorskiej", jakiejś „ciubalski" - jest to odruch, utrwalony w toku rozwoju gatunku.

Istnieje przekonanie, że niepokojony w „gnieździe" lelek (samiec lub samica, gdyż oboje na zmianę wysiadują) zabiera jaja i korzystając z posiadanej pokaźnej paszczy - przenosi w inne miejsce. Nie jest to jednak dostatecznie potwierdzone. Sam, choć obserwowałem kilka gniazd - co łączyło się ze spłoszeniem co jakiś czas wysiadującego ptaka - nigdy takiego zachowania nie stwierdziłem.

Młode przebywają w „gnieździe" około 2-3 dni, później wychodzą zeń na głos rodziców (coś w rodzaju delikatnego cmokania). Ci wkrótce przystępują do drugiego lęgu. Rodziny lelków tępią wiele szkodliwych owadów i osiedlają się chętnie w lasach dotkniętych owadzimi plagami. Są więc nader pożyteczne. Gatunek ten jest oczywiście pod ochroną.

Lelek - może ze względu na nocny tryb życia - był dotąd mało zauważany przez naszych ptakolubów. Ostatnio jednak Edmund Spierewka z Męcikału w woj. bydgoskim napisał nam parę słów o tym tajemniczym ptaku. Spostrzegł m. in., że lelek siedział na środku... jezdni! Muszę potwierdzić: tak lelki rzeczywiście robią co zwykle kończy się dla nich tragicznie. Sam parokrotnie omal nie rozjechałem samochodem dwóch lelków, które uparcie co wieczór przesiadywały na asfaltowej szosie, a zmykały w ostatniej chwili. Trudno powiedzieć, co je tu przyciągnęło: czy ciepło bijące od asfaltu wieczorem po słonecznym dniu, czy poprzylepiane do jezdni owady. Jak widać - ptaki na swój sposób też korzystają ze zdobyczy cywilizacji - raz z rzeczywistym dla siebie pożytkiem, kiedy indziej - faktycznie ze stratą...


Widoczny jak na dłoni, a jednak – prawie... niewidoczny! Podobnie jak dwójka piskląt, które ogrzewa

ZADANIA NA WRZESIEŃ

4. Proponujemy zwrócić baczną uwagę na wędrujące ptaki wodne i błotne (na zdjęciu - brodźce). W tym roku mamy szczególny powód by im się pilniej przyjrzeć. Mianowicie, nietypowe są warunki hydrologiczne, obserwujemy duże wahania poziomu wód, a w wielu rejonach kraju - powodzie. Jak na to wszystko reagują ptaki? Czy np. nie przenoszą się z okupowanych przez siebie co roku miejsc nad rzekami, w jakieś inne, gdzie ich przedtem nie bywało? Przypominamy tu o czaplach i mewach, których obserwowanie jest tego roku naszym nieustającym zadaniem.

5. Co jakiś czas wracamy w naszych zadaniach do ptaków krukowatych. Tak będzie i tym razem. Zaobserwujcie, co dzieje się z nimi na progu jesieni. Czy widoczne teraz ptaki, należące przecież do rodzimej, u nas się lęgnącej populacji, zbierają się w stada noclegowe w jakichś upatrzonych miejscach? Gdzie położone są te miejsca? Obserwacje te warto prowadzić do późnej jesieni, bo zdarza się, że noclegowiska populacji lęgowej (odlatującej zimą na zachód) są przejmowane przez populację zimującą (przylatującą na zimę ze wschodu). Warto ustalić, na ile jest to regułą.

3. Nadal utrzymujemy pojniki. Robimy ostateczny porządek w skrzynkach lęgowych. Zbieramy pokarm na jesień i zimę - zwłaszcza dla sikor i łuszczaków.



Teksty i zdjęcia: TOMASZ KŁOSOWSKI

Pomagamy ptakom

● **Witold Ciesielka, ul. Staszowa 9a, 34-460 Szczawnica,** wykonał w maju 2 pojniki. Jak je urządził? *„...Pod lasem, w pobliżu ulicy, na której mieszkam, koło pewnego drzewa wypływała na zewnątrz woda ze źródeł i rozlewała się po najbliższym terenie, tworząc mały potoczek — miniaturę potoku. Wykopałem tu na ziemi 2 płytkie pojniki dla ptaków i po niedługim, czasie zauważyłem korzystającego z jednego pojnika wróbla mazurka".*

● **Piotr Dybowski, Żeleźniki, 07-106 Miedzna, woj. siedleckie,** zrobił poidełko dla sikor - sądząc z nadesłanego rysunku, wykonane z puszki i patyczka. Zbudował też 5 skrzynek lęgowych - 2 dla szpaka, 3 dla sikor. Planuje budowę dalszych.

● **Lidia Jeżyk, pl. Lenina 11/8, 58-100 Świdnica,** dokarmia ptaki.

● **Rafał Oborski, ul. Potasińskiego 15,41-200 Sosnowiec,** zbudował 2 karmniki i skrzynki lęgowe.

● **Piotr Trachta, ul. Topolowa 1 m. 4, 58-530 Kowary,** woj. jeleniogórskie, zainstalował szereg skrzynek i 2 pojniki.

● **Stefan Wołowik, 21-201 Rudno 77,** zimą dokarmiał kuropatwy i sarny, zawiesił też karmnik dla drobnych ptaków. Urządził pojnik.

Pół wieku odwzajemnionej miłości Niny Andrycz do teatru

- Gratuluję pani jubileuszowego, 50 sezonu pracy na scenie Teatru Polskiego, w doskonałej kondycji fizycznej i psychicznej.

- Dziękuję. Być w dobrej formie, to elementarny obowiązek aktorki

- A jednak wierzyć się nie chce. patrząc na Panią, że debiut odbyt się w 1935 roku...

- Ściśle mówiąc jesienią 1935 roku 5 października wystąpiłam w Teatrze Polskim w Warszawie jako królewna Regana, córka Lira, którego grał Węgrzyn, w reżyserii wielkiego Leona Schillera. Pamiętem, że zostałam wtedy pochwalona przez Mistrza.

- A więc jesienią br. na tej samej scenie przypada Pani jubileusz?

- Chronologicznie biorąc - tak. ale ze względu na to, że ciągle jeszcze nie wyszliśmy z kryzysu, nie tylko zresztą ekonomicznego, szumne aktorskie jubileusze są moim zdaniem stanowczo nie na miejscu. Wystarczy mi po prostu dobra rola, która zawsze daje żywsze i ciekawsze kontakty z ludźmi.

- Dyrektor Dejmek wyszuka dla Pani na pewno jakąś interesującą postać. A teraz możemy oglądać „Biesiadę u hrabiny Kotłubaj" Gombrowicza na Scenie Prezentacje, w której występuje Pani w roli tytułowej. Czy jest to pierwsza Pani rola w utworze Gombrowicza?

- Tak. Kiedy przeczytałam sztukę, powiedziałam dyrektorowi Szejdzie, że taki „płodozmian" może dobrze mi zrobić, ale w skrytości ducha miałam tremę.

- Naprawdę?

- Mam tremę przed każdą nową pracą. Obojętne czy w dramaturgii klasycznej, czy współczesnej, w Szekspirze czy Gombrowiczu. I nie jest to żadna kokieteria.

- Jak Pani sądzi, co jest tego powodem?

- Poszanowanie zawodu, poczucie odpowiedzialności za tekst, bez względu na jego rozmiary. Aktor zawsze zdaje z czegoś egzamin przed publicznością...

- Egzamin? Oglądałam Pani kreację i jestem nią zachwycona. Zresztą nie tylko ja... Świadczą o tym wyprzedane na spektakle bilety.

— Cieszy mnie to bardzo. Muszę przy tej okazji nadmienić, że otrzymałam od Prezydenta Stolicy, generała Mieczysława Dębickiego list z gratulacjami i podziękowaniem za wieloletnią pracę dla Warszawy oraz za przeżycia artystyczne, jakie dostarczyłam widzom. Otrzymałam także sporo listów od osób prywatnych w związku z programem telewizyjnym, który ukazał się w lutym br.



- Program „Wybrańcy Melpomeny" bardzo się podobał widzom. Ujęła ich Pani zwłaszcza szczerością swych wypowiedzi, rzadką, jak mi się wydaje, wśród aktorów. Lata pracy aktorskiej nie wyczerpały Pani inwencji twórczej. Dała się Pani poznać również jako poetka. Tomik poezji „To teatr", który ukazał się nakładem „Czytelnika" zniknął natychmiast z półek księgarskich. Podobno ma się ukazać następny?

- Właśnie czekam kiedy wyjdzie z „poślizgu" w drukarni...

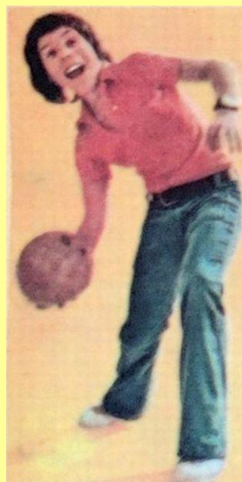
- A jaki jest jego tytuł?

- „Drugie spotkanie z diabłem". Pierwsze było w tomiku „To teatr".

- Pani najbliższe plany w teatrze?

- Prawdopodobnie wystąpię w teatrze telewizyjnym, w sztuce, która mnie interesuje, jeśli tylko uda mi się skompletować obsadę aktorską. Mam także ciekawą propozycję od jednego z instytutów kultury polskiej za granicą, abym przyjechała z recitalem poezji.

Rozmawiała
JANINA KAPUŚCIŃSKA
(PAP)
Fot. **CAF**



Co tydzień piłka!
Dziś - za smakowite danie
KLAUDIA WYGRAŁA PIŁKĘ, WŁADEK - NAGRODĘ

W redakcji odbyło się losowanie piłki wśród uczestników zadania dla smakoszy i wędrowców *„Smakowite danie"*. Zadanie to zamieściłem w 94 nrze „Świata Młodych" 1985-08-06. Nadesłano ponad sto ciekawych opisów oryginalnych dań. Sporo było także... przepisanych z książek kucharskich, tych nie braliśmy pod uwagę.

Cotygodniową piłkę wylosowała **Klaudia PRZYBYLSKA** ze Świdnicy. Gratulujemy! Piłkę – jak zwykle - prześlemy pocztą.

Za najciekawsze, najoryginalniejsze dania uznaliśmy te, które przysłał **Władysław LAZAR** z Wisły. Władek otrzymuje w nagrodę - SUPER SALON GIER. Wysyłamy ją pocztą. W jego pracy znalazły się sposoby przyrządzania „kapuśnicy", „żebroczki" i „kubusia".

Dwie kolejne nagrody - gry „FORTUNA" i „EUROBUSINESS" otrzymują: **Grzegorz SEROCZYŃSKI** z Warszawy za opis „prażuchy" i **Waldemar PIETRULEWICZ** z Gorzowa Wlkp. za opis „gryczanych kotlecików".

A oto właśnie sposób przyrządzania tych „kotlecików". Każdy może wypróbować. Potrzebne: jedne szklanka kaszy gryczanej, 1,5 szklanki wody, 100 g twarogu, 2 jajka, łyżeczka cukru, pół łyżeczki soli, pół szklanki tartej bulki, tłuszcz do smażenia. Zagotować wodę z solą, wsypać kaszę, gotować na wolnym ogniu 30-35 min., podstawiając pod garnek siatkę ochronną Po ugotowaniu dodać zmielony lub dokładnie roztarty twaróg, jajka, cukier i starannie wszystko wymieszać. Z otrzymanej masy formować na desce posypanej tartą bułką małe kotleciki i otaczać je dokładnie w tartej bułce. Smażyć na mocno rozgrzanym tłuszczu z obu stron na rumiano. Podając do jarzyn - na każdym kotleciku położyć łyżeczkę gęstej świeżej śmietany. Gryczane kotleciki można podawać również do barszczów i czystych zup. Smacznego!

Wszystkim uczestnikom zadania pięknie dziękuję, zwycięzcom raz jeszcze gratuluję i myślę że jeszcze nieraz spotkamy się w „Świecie Młodych".

Wasz **WAGABUNDA**



Wakacje nieuchronnie chudną w oczach. Jeszcze dzień, jeszcze dwa, jeszcze na osłodę jedna niedziela...
Ale przecież nie odejdą w niepamięć! Zostanie po nich

TWOJA WAKACYJNA KSIĘGA

a w niej zapisy i pamiątki z letnich szlaków.

Już dziś, jeśli uznałeś ją za skończoną, jeśli sądzisz, że do końca tygodnia nic szczególnego się nie wydarzy, obejrzyj ją, dopisz coś na koniec (puentę albo po prostu kropkę) i - wyślij ją do nas. Mozesz to także zrobić jutro, pojutrze, popojutrze. Księgi obejrzymy, przeczytamy, rozważymy, ocenimy, nagrodzimy najlepsze, najładniejsze, najciekawsze i odeślemy, żeby lato zostało jeszcze z Wami.

Nagrodzone Księgi zostaną dodatkowo ozdobione autografami Waszych ulubionych autorów. Czekamy do 7 września! Wysyłajcie je pod adresem redakcji z dopiskiem „Księga".



Klub Miłośników Origami „rośnie w oczach". Poczta niemal każdego dnia przynosi dziesiątki origamiątek. A my, zgodnie z przyrzeczeniem, autorów papierowych składanek i ciekawych listów przyjmujemy do Klubu, a niektórym przyznajemy małe upominki - gry z Listy Gier-Przebojów.

Dziś kolejna lista nowych członków KMO:

Maciej Dolata - Gołęczewo, Małgorzata Biernikiewicz - Warszawa, Jarosław Gorączka - Oblasy, Waldemar Hebda - Porąbka Iwkowska, Beata Rucka - Gorzów Wlkp., Małgorzata Kubik - Łomża, Barbara Bosek - Dąbki, Maciej Ruźniak - Luboń, Grażyna Kamińska - Siedlce, Małgorzata Rucińska - Olsztyn, Wojciech Janik - Bielsko-Biała, Lech Nowak - Bytom, Leszek Maliszewski - Warszawa, Anna Rudy - Zamość, Krzysztof Gajos - Wrocław.

A pani czego zagląda? Też chętna? nie potrzebuje, ma mnie! Jezusie, do czego to podobna! Emilce starczy, pani idzie na swoją stronę! Nie tykać garnka, mówię! Nie z tej strony, ucho gorące, blachy nagrzane, nie widzi czy co?!

I tak obie, Emilka i mama, zdobywały umiejętności kulinarne przy boku Józi. A śmiechu było przy tym, a radości, satysfakcji Józi z siebie (nic nie potrafią, nie mogą pojąć, niemoty czyste, ja od maleńkości glik do garnków miałam, a i do wszystkiego tak Bogiem a prawdą), jej lamentów i troski.

- A nie zmęczy się, co? Usiądzie sobie, o, jak spociła się cała, a zbladła. Gdzie czerwona, zbledła mówię, a choćby i poczerwieniała, też niepokojąco!

I wreszcie pełny triumf:

- Sameście tę kaczkę upiekły? Same nadziały? Jabłek wzięły? Potrafiły? Wszystko wiedziały jak? Potrafiły! A matka mówiła - psu na drodze odbierzesz, wtedy jeść będziesz, a tu patrzcie, na nauczycielkę panów zostałam się. Fach w ręku mam nie jeden, a dwa. Same świadczcie. Jeszcze mnie psa kupić, nawet sforę jak u hrabiego, jeść im dawać, nie odbierać. Nie sprawdziło się matczyne krakanie, ot tobie i masz. Mogę umierać spokojnie, nie zginą obie. I czegóż machają rękami, wieczysta nie jestem. Baba z dziadem też nie chcieli iść za kostuchą, a poszli. Kominem! Zapomniały?

Józia była dla nich obu opoką. Ostoją i pocieszycielką. przyjaciółką i powiernicą. Wszystko umiała zrobić, wszystko wiedziała, znała się na gotowaniu, na chorobach, modzie, na historii Polski i nie tylko na tym, co wypada, a co nie, na polityce i poezji. Józia to był dom, jego klimat i spokój. Kulawa gospodyni recytująca z pamięci „Ojca zadżumionych", pani „na lewej stronie", w zwyczajnej, śmierdzącej - cudownie pachnącej cebulą, kapustą i praniem Józi kuchni. Pałacu ze stołem i ławami ciosanymi grubo przez małomiasteczkowego stolarza.

Babcia kiwa w zadumie głową i patrzy na Annę swoimi nieokreślonego koloru oczami.

Rafał byłby ucieszony - myśli Anna. Nie dwie iskierki zobaczyłby w nich, a całe niebo blasków. Zdaje się jej, właściwie jest pewna, że babcia nie widzi teraz nic i nikogo. Nie ma domu w Warszawie, Rafała, Anny zamarłej obok i Agata. Babcia wróciła na długą, szczęśliwą chwilę do kuchni do Józi.

A zaczęło się tak zwyczajnie. Od niewinnego, pierwszego lepszego pytania jakie się Annie nasunęło - czy kuchnia w domu babci była duża czy mała. Aniu, kochamie... - odpowiedziała babcia.

Anna miesza machinalnie w garnku, odkrywa i przykrywa ugotowany już ryż, zastanawia się nad wstawieniem ziemniaków i myśli intensywnie. Dowie się jeszcze czegoś o Józi i tamtym domu w Grabowie czy nie? Dlaczego po prawej stronie sieni było tak zimno choć pięknie? I czemu Józię wynosili na noszach ludzie w białych fartuchach? Dokąd odesłała mama małej Emilki? Czy Józia wróciła? Co było w kufrze? Waśnie, co mogło tam być? Rafał to ma szczęście! Taka babcia! Pewnie, jego rodzice poszli sobie, zapakowali manatki, powiedzieli cześć i problem z głowy. Co z oczu, to i z serca. Michalski od trzech lat jest w domu dziecka... I co. wojnę wypowie rodzinie? Od jutra Anna będzie mówić mu Edek, to świństwo, że wszyscy tykają go „ty, Micha"; w klasie mają go trochę za nic. Jest inny jakiś, fakt, ale to co? Każdy byłby nienormalny na jego miejscu. Niby taki sam, a inny. I wcale nie o ubranie chodzi. Musi zapytać mamy jak z tym jest. Ona też, zwyczajna Anna, nie do odróżnienia od innych dziewcząt, bez znaków szczególnych, z typowymi reakcjami i zachowaniem (nie bierzmy języka pod uwagę!) byłaby inna u podrzutków. Odpukać, Matko Boska! Zwariowała chyba. Ciekawe, czemu babcia miała taką wredną córkę. Nie potrafiła jej wychować? Bzdura. Córka czupiradło i niewdzięcznica. I głupia musi być. Zostawić takiego fajnego Rafała. Zakochała się, odkochała i znów zakochała. Greta Garbo. Dobrze, że babcia nie chce jej znać. Rafał też nic nie mówi. Zapomniał matkę? Ale! Jak można zapomnieć.

No, czy nie dzięki Rafałowi zrozumiała wiele spraw? „Pusta mózgownica" powiedział o niej raz w złości Maciek. Walnęła go w kark aż zadudniło, obraziła się śmiertelnie na całe dwa dni, ale nie było znów tak bardzo za co. Wydawało jej się, że wszystko musi być jak jest. Normalnie m u s i. Rafał powiedział wtedy do Jacka, że chce z nim iść na wywiadówkę do szkoły. Chce! „Dobrze, Jacek?" i te oczy małego. „Babcia prosiła, źle się czuje". Całe Anny m u s i diabli wzięli. „Musi to na Rusi, a w Polsce jak kto chce" mówi arcymądrze pani Kodołkiewiczowa i wzdycha nie wiedzieć czemu.

Cdn.

43 ODCINEK

TYTUS, Romek i A'TOMEK

KOLOROWAŁA MARIKA ROSOCHACKA

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

DOBIEGLIŚMY DO MIEJSCA, GDZIE WSKOCZYŁEM W OBRAZ. TRZYMAJ MNIE ZA RĘKĘ, WYSKOCZYMY RAZEM DO MOJEGO ŚWIATA.

TYMCZASEM W MUZEUM...

TO JEST TEN LANDSZAFT, KTÓRY U NAS ZAMÓWIONO. WYCINAMY!

MOIM ZDANIEM WYBRALI NAJBRZYDSZY. JA TO BYM ZORGANIZOWAŁ JAKIEŚ CHRYZANTEMY W KRYSZTAŁOWYM WAZONIE ...

Aj! NIE MOŻEMY WYSKOCZYĆ.

KTOŚ NAS WYROLOWAŁ!

GAZ

dawno... niedawno...

Co się wydarzyło 29 i 30 sierpnia

29 VIII 1918 r. - Rada Komisarzy Ludowych Rosji Radzieckiej uchwaliła dekret (opublikowany 5 IX 1918 r.) w sprawie anulowania traktatów o rozbiorach Polski, zawartych przez rząd byłego Cesarstwa Rosji z rządami Austrii i Prus. W dekrecie tym stwierdzono, że wszystkie układy i akty zawarte przez rządy zaborcze (było ich w latach 1772-1833 trzynaście) zostały ze względu na ich sprzeczność z zasadą samookreślenia narodów i rewolucyjnym poczuciem prawnym narodu rosyjskiego, który uznał niezaprzeczalne prawo narodu polskiego do niepodległości i jedności - nieodwołalnie zniesione.

29 VIII 1944 r. - wybuchło powstanie narodowe w Słowacji. Powstanie wspierane przez partyzantkę radziecką trwało sześć tygodni. W tym samym czasie toczyły się walki na Przełęczy Dukielskiej. Uczestniczył w nich 1 Korpus Czechosłowacki (sformowany w ZSRR) spieszący wraz z wojskami radzieckimi na pomoc powstańcom. 6 października Korpus Czechosłowacki sforsował Przełęcz Dukielską i wkroczył na ziemie Czechosłowacji.

Ponadto

30 VIII 1946 r. - zmarł major Henryk Sucharski, który we wrześniu 1939 r. dowodził obronę Westerplatte - półwyspu nad Zatokę Gdańską. Zgodnie z postanowieniem Ligi Narodów z dnia 9 XII 1925 r. stacjonował tu polski oddział wartowniczy i znajdowała się Wojskowa Składnica Tranzytowa. Westerplatte w sile około 182 żołnierzy (w tym 5 oficerów) broniło się 7 dni.

Cytat na dziś i na jutro

Jeśli chcesz pokoju, stosuj sprawiedliwość.

(napis na Pałacu Pokoju w Hadze)

UŚMIECH NUMERU

W CZASIE LEKCJI języka polskiego.

— Mądrala — zwraca się nauczycielka — powiedz mi jakiś wyraz, który będzie zawierał kilka liter „o".

Mądrala myśli chwilę, po czym rozpromieniony wrzeszczy na całą klasę:

— Goooool!

*

NA SZKOLNEJ tablicy ogłoszeń pojawiła się kartka z następującym tekstem: „Sprzedam tanio encyklopedię. Moja młodsza siostra wie wszystko! I to znacznie lepiej. Mądrala."

ŚWIAT MŁODYCH

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 104 (4034)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (z-ca red. nacz.) Teresa Maciszewska, Jan Orgelbrand, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61 Sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11-15).

TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 03-965 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i teminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne:
Inna Bójska
Opracowanie techniczne:
Barbara Zając
Korekta:
Barbara Wasilewska
Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Zam. nr 3107/G. N-33
Nakład 439 000

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY





Maria Borowa

8

Już jednak następnego dnia witała Emilkę w kuchni kusząco uchylona szuflada, a Józia, schylona nad dzieżą z naczynionym na chleb ciastem, pytała obojętnie:

- Nie chcesz to czego na ząb? Zajrzyj no do szuflady, wybierz, co chcesz. Zabieraj paluchy z ciasta! Jeszcze ciebie mi tu brakowało! Jeden strupek, ale za to na całą głowę.

I tylko dzięki owym płukaniom gardła, zagryzaniu chlebem i wrodzonej, wbrew pozorom, wstrzemięźliwości do słodyczy nie „złapała" Emilka żadnego z opisywanych jej barwnie, przez Józię w groźnych wizjach tasiemca. Bo o zęby mogła być spokojna. Ani myślały poddać się jadom chałwy i rachatłukom. Gryzły też zapamiętale orzechy, włoskie i laskowe; cały wielki kąt ogrodu zajęła nie wiedzieć skąd tam przywleczona leszczyna; gryzły i sznurki, patyki, ba, nawet drut w razie potrzeby.

- Wiewiór! - wyrywała jej „te świństwa" z zębów i rąk Józia. - Królik! Rzuć mi zaraz te ziele. Pani powiem! Panu! - padała ostateczna groźba. - Nie masz co żuć? Possij se gruszkie, nie odygi. No, mówię!

Emilka śmieję się w duchu. Już dawno zauważyła, że Józia, zwykle elokwentna w dystyngowanie poprawny sposób, w chwilach wielkiego zdenerwowania gwizdała na gramatykę. Swoją drogą - gruszka, czemu nie.

Nigdy i nigdzie nie jadła Emilka równie wspaniale suszonych gruszek jak te, które jako antidotum na gryzienie patyków podsuwała jej Józia. Gruszki - tylko z tej jednej się nadają, z salsbury, z żadnej innej, żebyś wiedziała! — wybierane i obierane starannie, krojone w ósemki; suszone na słońcu, w piecyku, na blasze kuchennej, znów w słońcu...

- Pszczół z nich nie spędzaj, mucha wredne bydlę, gorzej świni, pszczoła i osa czyste, niech pochodzą do woli. Gruszki przez to słodsze będą i rarytaśniejsze. Niechby i cały ul zleciał, podziękuję im jeszcze. I czego się boisz, głupia, co pszczole do chudy dziewuchy kiedy ma takie gruchy!

Zajadali się nimi goście, nawet ojciec lubił mleć na biurku spodeczek pachnących rajsko młodowo-złotych delicji.

- Figa! Prawdziwa figa! - piszczała cienko a podlizująco Genowefa i milkła studzona natychmiast przez Józię.

- Figi! Patrzcie ją! Znasz się tyle, co osieł na rabarbarze. Dała Barszczowa swojemu na zupę jak zachorował, doktór kazał, a Barszcz, że nie będzie jadł, bo niekraszone. Figa! - parska pogardliwie Józia. - Figa to betka przy moich gruszkach, byle co, nic, stara robaczywa soczewica od Rumli, co ją spasam kurami. Wiesz teraz, co to figa?

Genowefą kiwała pokornie głową, a oburzona do żywego Józia zabierała z zasięgu jej rąk miseczkę z gruszkami.

- ... co jeszcze lubiłam, pytasz? Wszystko, co zrobiła Józia. Ale po gruszkach najbardziej złamaną kawę. Tak ją obie nazywałyśmy - „złamana kawa". Sypała Józia do filiżanki zbożową kawę miałko mieloną, nie więcej niż dwie; trzy łyżeczki, na to cukier, parę kropli miodu, ucierała jak kogel-mogel i gotowe. Nigdy potem nie chciałam jeść takiej kawy. Bez Józi nie była „złamana" i nie smakowała mi zupełnie.

Józia uczyła też babcię gotować. Tak dla żartu i na wszelki wypadek.

- Kiedy mnie zabraknie, będziesz miała jak znalazł. Pani, co nie zna się na garnkach, żadna pani. Każda gospodyni ją wykołuje, albo i garkotłuk pierwszy lepszy. Sobie weźmie, zachachmęci, na stół poda byle co i byle jak, w chorobę zagna, kuchnię zapuści z przeproszeniem jak chlew.

Dokończenie na str. 7